BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W GDAŃSKU

Stron 12

Cena 25 zł

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Wieś

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

OW 9037

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI | Łódź, 15 maja 1949 r. | Nr 20 (199)

W NUMERZE

między innymi:

K. Grzybowski — Refleksje po Kongresie Pokoju.
W. Kubacki — Satyra w „Dziadach" Mickiewicza.
S. Quasimodo, W. Woroszylski, Jan Maria Gisges — wiersze. Chińskie pieśni ludowe.
W. Jędrkiewicz — O Chopinie.
H. Brodowska — Chłopi hrubieszowscy w Staszicowskim Towarzystwie.
J. Litwin — Uwagi o upowszechnieniu kultury.
A. Braun — Fikcyjne przeciwstawienia.
J. Miller — W podróży.
M. Buczkówna — Niezrównany Pan Czao-Tsyjüe.
I. Łaptiew — Tragedia amerykańskich farmerów.
G. Szturchaniec, P. Pigwa, K. Martyński — uwagi

Zofia Rzeplińska

ZNÓW BERLIN

W ostatnich dniach Departament Stanu USA ogłosił komunikat, reasumując przebieg rozmów, jakie odbyły się między Jessupem, przedstawicielem USA w ONZ, a Malikiem, delegatem ZSRR w Radzie Bezpieczeństwa. Przedmiotem tych rozmów, podjętych w połowie lutego przez Jessupa, była sprawa Berlina. Wobec oświadczenia przedstawiciela Związku Radzieckiego, że w wypadku osiągnięcia porozumienia w sprawie zwołania Rady Ministrów Spraw Zagranicznych, wzajemne ograniczenia komunikacyjne zostałyby natychmiast zniesione — Departament Stanu podał do wiadomości, że wyłoniła się obecnie możliwość zwołania Rady Ministrów.

Sekretarz Generalny ONZ, Trygve Lie, cieszy się — „Cały świat z zadowoleniem powita uwieńczenie pomyślnym skutkiem nowego wysiłku wyprowadzenia sprawy Berlina z martwego punktu" — stwierdził w wydanym komunikacie. „Sądzę, że większość ludzi będzie zadowolona z tego również, że zostały wykorzystane w tym celu wszystkie drogi ONZ...".

Trygve Lie ma podstawy do zadowolenia. Perspektywy obecnej sytuacji są daleko jaśniejsze niż w listopadzie ubiegłego roku, kiedy Sekretarz Generalny ONZ wraz z przewodniczącym ówczesnej sesji Zgromadzenia Ogólnego, Evattem, zwrócił się z bezpośrednim apelem do Stalina, Trumana, Attlee i Queuille'a o podjęcie akcji celem rozwiązania zagadnienia berlińskiego. Apel podkreślał zgubny wpływ niepewnej atmosfery na pokojową odbudowę wszystkich krajów i na bieg prac Zgromadzenia Ogólnego. Powoływał się na jednomyślną uchwałę wielkich mocarstw z dnia 3 listopada ub. r., powziętą na forum ONZ w sprawie usunięcia istniejących różnic i ustanowienia trwałego pokoju. „Uważamy — głosiła odezwa Evatta i Lie — że pierwszym krokiem winno być rozwiązanie zagadnienia berlińskiego. Sprawa ta znajduje się nadal na porządku obrad Rady Bezpieczeństwa. Sądzimy, że przebieg dyskusji nad tym zagadnieniem na forum Rady dowodzi możliwości jego rozwiązania. Każdy dzień opóźnienia pogłębia zagrożenie pokoju i bezpieczeństwa wszystkich narodów".

Z wielką dozą niechęci apel Trygve Lie i Evatta został przyjęty przez anglosaskie koła polityczne. Zagrożone nieoczekiwaną możliwością rozwiązania konfliktu przystąpiły do gorączkowej kontrofensywy. Ten niewczesny wysłannik z gałązką oliwną zjawił się zupełnie nie w porę. Nie należało bowiem dopuścić za żadną cenę do załagodzenia konfliktu, który stanowił pierwszorzędny atut w akcji rozbijania Niemiec, z drugiej zaś strony trudno było narażać się na zarzuty torpedowania pokojowych propozycji tak wysoko postawionych kół jak Sekretariat Generalny ONZ. Apel pokojowy stanowił wyraźny cios dla aliantów zachodnich. Ich irytacja była tym większa, że dr Evatt powszechnie uważany był za rzecznika polityki anglo-amerykańskiej. Wystąpienie jego uznano więc za posunięcie polityczne bez precedensu.

Utrzymywanie napięcia sytuacji międzynarodowej było warunkiem sine qua non dla powodzenia dalekosiężnych zamysłów sojuszników zachodnich, zaszachowanie więc najważniejszego pionka w tej grze słusznie wywołało niepokój i zdenerwowanie. Podjęcie rokowań stanowiłoby groźną rysę w planach Anglosasów. Wnet też rozpoczęła się gorączkowa krzątanina pomiędzy Waszygtonem a Londynem w celu znalezienia wyjścia z sytuacji. Nastąpiło w Paryżu spotkanie pomiędzy Marshallem, Mac Neilem i Schumannem dla uzgodnienia odpowiedzi mocarstw zachodnich na apel przewodniczącego ONZ i Sekretarza Generalnego w sprawie Berlina.

Komentarze do stanowiska Wielkiej Brytanii czy USA są zbędne. Przytoczone fakty mają bowiem jednoznaczną wymowę. Ciekawe natomiast wnioski nasuwa postawa Francji, znamienna, jak zwykle w podobnych sytuacjach. Dzienniki paryskie zresztą nie pozostawiały wątpliwości w tej sprawie, komentując rzecz, jak np. „Le Monde", następująco: „Anglicy i Amerykanie podrażnieni są démarche Evatta i Trygve Lie. We wtorek Schumann otrzyma dyspozycje od Marshalla i Mac Neila".

Francuski podsekretarz stanu dla spraw informacji, Mitterand, na konferencji prasowej oświadczył, że Francja zaaprobowała apel Trygve Lie i Evatta. To oświadczenie, sprzeczne z późniejszymi postanowieniami Marshalla — Mac Neila — Schumanna, ujawnia po raz dziesiąty lub setny uzależnienie Francji od Anglosasów. Inne dzienniki bynajmniej nie okazywały zbytniej uległości ani pokory. „Populaire" zwraca uwagę, że niechęć Anglosasów do projektu Evatta wynika z obawy, by inicjatywa ta nie „przyczyniła się do poparcia pokojowej ofensywy Związku Radzieckiego". „France-Tireur" oświadcza: „Evatt postąpił jak Australijczyk, reprezentujący kraj, dla którego przedłużanie się obecnego napięcia międzynarodowego oznacza szybkie dźwignięcie Japonii. Poza usiłowaniami Anglosasów utrzymania problemu Berlina na porządku dziennym Rady Bezpieczeństwa kryje się lęk przed „zbyt wczesnym" rozpoczęciem rozmów z Moskwą. Londyn i Waszyngton pragną zaczekać do czasu zawarcia militarnego przymierza atlantyckiego i rozpoczęcia zbrojeń państw Europy zachodniej".

Brak jednolitej linii, wahania i wątpliwości — oto główne cechy stanowiska Francji wobec sprawy Berlina. Ale casus Berlin to tylko jedno pole na szachownicy polityki amerykańskiej i rozpatrywać je należy jedynie w powiązaniu ze wszystkimi innymi. Stanowisko Francji pełne było sprzeczności, ale należy wziąć pod uwagę, że obok Berlina, w tym samym okresie, na teren rozgrywek niemieckich wpłynął groźny cień Zagłębia Ruhry. Ustawa Nr 75, na mocy której cała Ruhra dostawała się w ręce b. współpracowników Hitlera, aby wykonywali swe „prawa własności" pod batutą dyrygentów amerykańskich — przekreśliła ostatecznie jakiekolwiek nadzieje Francji na wyjście z sytuacji, już nie tyle korzystne, ile nie pociągające większych strat. Płonne nadzieje. Stało się nagle jasne, że dalsza opozycja Francji wobec anglo-amerykańskich decyzji w sprawie Ruhry jest całkowicie bezcelowa. Można już było tylko wygłaszać patetyczne przemówienia, z czego nie omieszkał skorzystać, na czele innych znacznych osobistości, sam prezydent Auriol. Przemawiając z okazji rocznicy zawieszenia broni na uroczystościach w Compiègne, oświadczył, że „byłoby rzeczą niewybaczalną, gdyby pozwolono raz jeszcze aby Zagłębie Ruhry wpadło w ręce wspólników Hitlera, którzy mogliby je użyć znów przeciw pokojowi. Do takich katastrof prowadzą błędy okresu powojennego z roku 1919" — wołał. „Byłoby jednym z największych paradoksów, gdyby ktoś wobec moralnych i materialnych zniszczeń dokonanych w całej Europie przez wojnę, mógł pomyśleć o wcześniejszej odbudowie Niemiec niż krajów przez nich zburzonych, uwalniając Niemcy od wszystkich obowiązków odszkodowań i dając im bez żadnej kontroli potęgę polityczną i ekonomiczną, która zwróci się jeszcze raz przeciw ich ofiarom".

„Zapewniamy — powiedział Auriol — że żaden wzgląd gospodarczy nie może służyć jako pretekst dla zdrad politycznych, moralnych i wojskowych. Byłoby szaleństwem przypuszczać, że Niemcy okażą pewnego dnia wdzięczność tym, którzy utorowali im drogę do zemsty; znaczyłoby to zapomnieć o traktatach, które Niemcy zawierali i deptali". I na zakończenie: „Pokój nigdy nie stanie się rzeczą realną, jeżeli zwycięzcy nie będą pamiętać o swych dawnych błędach, jeśli nie pozostaną zjednoczeni i wierni zasadom zwycięstwa, które głosili, wierni układom, które podpisali...".

Słowa na wagę złota. Szkoda tylko, że zawieszone w całkowitej próżni politycznej, gospodarczej i dyplomatycznej. Szkoda, że nie mają najmniejszego pokrycia ze strony realnych posunięć rządu francuskiego. Szkoda, że prezydent Auriol nie dodaje ku wiecznej rzeczy pamięci, że Francja pada ofiarą swej własnej polityki i że jej stanowisko przy stole obrad konferencji londyńskiej, stanowisko nieśmiałego petenta, z trudem bełkoczącego swe zastrzeżenia, jest uwarunkowane całym systemem polityki francuskiej. Kto mówi A, ten musi powiedzieć i B — a że to B zabrzmiało bardzo żałośnie, to sprawa logicznego biegu rzeczy. Wybitny publicysta francuski, Pierre Courtade, określił rzecz zwięźle i celnie: „Czyż nie jest rzeczą oczywistą, że gdyby protesty rządu francuskiego przeciwko zbrodniczej decyzji amerykańskiej w sprawie Ruhry były czymś innym niż demogogiczną hipokryzją, rząd francuski skorzystałby z okazji, którą mu nastręczyła propozycja Evatt — Trygve Lie, aby wypowiedzieć się niezależnie od Waszyngtonu w sprawie niemieckiej?"

„Naród francuski zwraca spojrzenie w stronę swego alianta — Związku Radzieckiego, który stale popierał tezy francuskie w sprawie Ruhry, a teraz daje nam nowy dowód swej woli pokoju w sprawie berlińskiej".

Problem Berlina nie da się rozwiązać ani nawet zrozumieć w wyodrębnieniu z całokształtu problemu niemieckiego. Zagadnienie zaś **całych Niemiec** to przede wszystkim **przeciwstawność** polityki mocarstw okupacyjnych: a mianowicie **strefy wschodniej, gdzie krok za krokiem i punkt po punkcie realizuje się program uchwał poczdamskich, i Niemiec zachodnich, gdzie Amerykanie, wciągając do swej gry dobrowolnie lub pod przymusem Anglię i Francję, tworzą ekspozyturę wielkiego kapitału i arsenał przeciwko demokracji.** Casus Francja — Berlin czy casus Francja — Ruhra to różne oblicza tej samej sprawy, przejawy tej samej roboty, jaką prowadzą Amerykanie, mianowicie **kolonizacji Niemiec i podporządkowywania sobie Europy.**

Przyczyny konfliktu berlińskiego wybiegają daleko poza ramy Berlina i pozostają w ścisłej łączności z postanowieniami londyńskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych mocarstw zachodnich, gdzie zapadła decyzja rozbicia Niemiec i utworzenia marionetkowego państwa zachodnio-niemieckiego. Separatystyczna reforma walutowa w Niemczech zachodnich miała być pchnięciem dla przyspieszenia realizacji tych planów. Jest natomiast zupełnie jasne, że po podziale Niemiec na dwa obszary walutowe musi istnieć pomiędzy nimi jakaś kontrolowana granica. Nie trzeba udawadniać, że, gdyby radzieckie władze okupacyjne pozostawiły w Berlinie niekontrolowany obszar walutowy, luka ta zostałaby natychmiast wykorzystana przez wrogów gospodarki demokratycznej. Wobec konieczności wprowadzenia ograniczeń komunikacyjnych, Związek Radziecki podjął ciężar zaopatrywania całej ludności Berlina we wszystkie artykuły elementarnego użytku. Blokada Berlina była więc od początku jedynie wymysłem państw zachodnich, służącym celom zarówno efekciarsko-demonstracyjnym, jak i zwykłym handlowym — jako że osobny rozdział można by poświęcić opisowi zysków z różnych „powietrznych" spekulacji.

Reforma walutowa, „most powietrzny", podział Niemiec, to różne warianty intensywnej akcji Amerykanów, mającej na celu zabezpieczenie ich domeny przed jakimikolwiek wpływami demokratycznymi. Żadna bariera nie wydaje się tu dość silna, żadne prześladowanie demokracji dość skuteczne. Znana jest historia strajków robotniczych w strefach zachodnich; do dziś dnia ciągnie się jeszcze sprawa przywódcy Komunistycznej Partii Niemiec, Maxa Reimanna, który wyrokiem angielskiego sądu wojskowego został skazany na trzy miesiące więzienia. Bezpośrednim powodem procesu było przemówienie wygłoszone przez Reimanna 2 stycznia br. w Düsseldorfie na wielotysięcznym wiecu robotniczym. W przemówieniu tym przywódca KPD nazwał po imieniu niemieckich sługusów Zachodu, którzy przyczynili się do rozbicia kraju. Oświadczył mianowicie:

„Stwierdzam całkiem otwarcie, że politycy niemieccy, którzy, opierając się na statucie zagłębia Ruhry, wezmą udział w tworzeniu rządu zachodnio-niemieckiego, a tym samym przyczynią się do wprowadzenia reżimu kolonialnego w Niemczech zachodnich, nie powinni się dziwić, jeżeli naród niemiecki będzie ich uważał za Quislingów".

Pigułka prawdy okazała się zbyt trudna do strawienia. Obrażeni zostali ci, którzy wiernie wypełniają wszelkie życzenia Anglosasów. Możni protektorzy poczuli się dotknięci i zareagowali natychmiast falą zakazów, aresztowań i represji, a przede wszystkim uwięzieniem głównego reprezentanta „opornych i nieposłusznych". Tacy, jak on, są diablo niewygodni dla Anglosasów w ich akcji kolonizowania Niemiec zachodnich. Kardynalnym warunkiem powodzenia tej roboty jest możność doprowadzenia do końca rozbicia Niemiec i wzniesienie muru „od Wschodu". Banki nowojorskie nie tolerują ryzykownych posunięć ekonomicznych. Na Wall Street zapadła decyzja, że stawka na Niemcy musi opłacić się stokrotnie. Więc przede wszy-

Demonstracja 500.000 robotników berlińskich przeciwko polityce władz anglosaskich w Niemczech
(„Neue Berliner Illustrierte")

Dn 1 57/52

stkim sojusz z niemieckim kapitałem, rokujący jak najlepsze perspektywy. Przymierze to ma zresztą już daleko siegające tradycje. Teraz przeżywa erę odrodzenia. Amerykanie nie żałują łask „sprzymierzeńcom". Są oni przecież ich prawą ręką **we wznoszeniu placówki Wall Street w sercu Europy.** Kapitał finansowy USA prosperuje, doglądany pieczołowicie przez panów Flicków, Stinnesów, Schroederów, Thyssenów, Dinkelbachów i im podobnych zbrodniarzy wojennych. O denazyfikacji głuche milczenie Nie wypada przecież denazyfikować sojuszników. Wznawiają więc produkcję koncerny—giganty, które stanowiły element wzrostu reakcji politycznej w Niemczech, użyźniały glebę, na której wyrósł hitleryzm. Dla Anglosasów nieważny jest udział I. G. Farbenindustrie w komorach gazowych Oświęcimia i innych — ważny jest aktualny udział tego koncernu, jako sprzymierzeńca w ekspansji ekonomicznej. Z tego samego tytułu zbrodniarze wojenni von Papen i Schacht zostali uniewinnieni, dla tych samych powodów setki innych pogrobowców hitleryzmu korzystają z nieograniczonej swobody. Powinowactwa i zawężenia interesow Schroederów europejskich i Schroederów zza oceanu są nie do rozwikłania, a sławny dom bankowy Schroederów to jeden z wielu o podobnych funkcjach i celach.

Sprawa Maxa Reimanna, reforma walutowa, to różne fragmenty tej samej gry zmierzającej do **utworzenia z Niemiec zachodnich potężnego bastionu wrogości wobec „Wschodu" i kolonii wielkiego kapitału amerykańskiego.** W dniu 8 kwietnia br. nastąpiło niejako ukoronowanie tych wysiłków, a w każdym razie zakończenie pewnego ważnego etapu. Został mianowicie podpisany ostateczny tekst statutu okupacyjnego. Wielomiesięczne narady rządów mocarstw zachodnich znalazły wreszcie prawny wyraz w przypieczętowaniu podziału Niemiec i eo ipso utworzeniu najdalej na wschód wysuniętego członu imperialistycznej bazy amerykańskiej w Europie. Powstał **statut okupacyjny zamiast traktatu pokojowego proponowanego przez Związek Radziecki,** który wysuwa postulat utworzenia rządu ogólnoniemieckiego w zjednoczonym kraju i zakończenia w rok później okupacji wojskowej. Takie rozwiązanie sprawy, przekreślające federalizację Niemiec, umożliwiałoby promieniowanie wpływów demokratycznych na cały kraj, co paraliżowałoby dążenia anglosaskiego kapitału.

W tym stanie rzeczy zostały podjęte ponownie rozmowy na forum ONZ między przedstawicielami USA i ZSRR. Przy najuważniejszym jednak przeglądzie bieżących i minionych wydarzeń, nie można spostrzec niczego w działaniach Amerykanów, co naprowadzałoby na jakiś ślad ich pojednawczych zamiarów. Wystąpienia Jessupa można by chyba tłumaczyć wyłącznie presją zewnętrznych zjawisk i wypadków, które przesunęły się ostatnio na polityczno-społecznym ekranie świata. W związku z tym wydaje się słuszny komentarz „Berliner Zeitung", czołowej gazety w strefie wschodniej, która pisze:

„Na długą metę nie mogła się ostać polityka sabotowania pokoju w Niemczech i na świecie, prowadzona przez mocarstwa zachodnie Przygotowania wojenne wywołały potężną reakcję w postaci mobilizacji wszystkich świadomych sił pokojowych. Ten stan rzeczy musiał niewątpliwie wpłynąć hamująco na ludzi zainteresowanych w rozpętaniu nowej awantury wojennej. Zauważyć również należy, że rozsądek, okazywany obecnie przez mocarstwa zachodnie, ma za przyczynę i tę okoliczność, że mimo wszystkich posunięć sabotażowych ze strony polityki Anglosasów gospodarka ZSRR i krajów demokracji ludowej wykazuje sukcesywny wzrost, podczas gdy gospodarka Anglii i innych satelitów USA przechodzi kryzys. Ten stan rzeczy uwidocznił się również na odcinku niemieckim".

Pismo wskazuje również na wydarzenia chińskie, jako przyczynę „pewnego ochłonięcia" na Zachodzie.

Jakkolwiek przed rozpoczęciem prac Rady Ministrów Spraw Zagranicznych trudno zinterpretować dokładnie charakter wystąpień ze strony USA, nie ulega wątpliwości, że konfiguracja sił politycznych bieżącego okresu, wykazująca **nieustanny wzrost przewagi czynników pokoju i demokracji,** wywarła niemały wpływ na to, że zastygła jesienią na martwym punkcie sprawa konfliktu berlińskiego znów odżywa na forum ONZ.

Zofia Rzeplińska

Konstanty Grzybowski

REFLEKSJE PO KONGRESIE POKOJU

I.

Zacznijmy od pewnych przypomnień. Gdy w Berlinie w r. 1905 odbywał się meeting, w sprawie pokoju — cesarsko-niemiecki kanclerz Bülow odmówił wizy wjazdowej Janowi Jaurèsowi, wielkiemu przywódcy socjalistów francuskich. Gdy w roku 1932 odbywał się Kongres Pokoju w Amsterdamie — mieszczańsko-demokratyczny rząd królowej Wilhelminy odmówił wiz wjazdowych wszystkim delegatom radzieckim, między innymi Maksymowi Gorkiemu. Gdy w roku 1949 odbywał się Kongres Pokoju w Paryżu mieszczańsko-demokratyczny rząd Czwartej Republiki Francuskiej odmówił wiz wjazdowych ...ale w tym przypadku wyliczanie nazwisk dotkniętych odmową byłoby zbyt długie. Metoda tych, którzy boją się pokoju, jest zawsze taka sama, niezależnie od tego, czy są sługami Hohenzollernów czy urzędnikami oswojonej z demokracją dynastii holenderskiej, czy rządzącymi sferami republiki mieszczańskiej — bo zawsze są narzędziem tych samych czynników, wielkiej finansjery i wielkiego kapitału. Tylko ...w r. 1949 istnieją już kraje, w których nie rządzi wielki kapitał i ci, którzy nie mogli pojechać do Paryża, by radzić nad ocaleniem — także Francji przed trzecią wojną światową, ci mogli się zjechać w Pradze. W miejsce jednej, potężnej manifestacji mieliśmy dwie, równie potężne. I to jest postęp, widoma oznaka wzrostu sił pokoju.

I przypomnienie drugie. Gdy w r. 1932 odbywał się amsterdamski Kongres Pokoju, przywódcy socjalmieszczańskiej drugiej międzynarodówki zakazali swym członkom udziału w tym kongresie. Mimo tego — na Kongresie na 2.200 delegatów było 291 członków partyj socjalistycznych, związanych z drugą międzynarodówką. Ale gdy w r. 1949 partie socjalmieszczańskie znów okazały się mieszczańską ekspozytura w ruchu robotniczym, znów potępiły walkę z podżegaczami wojennymi, znalazł się tylko jeden człowiek związany formalnie z tymi partiami, który na Kongres przybył — angielski labourzysta Zilliacus. I to jest także, mimo odmiennych pozorów, postęp. Granica między tymi, którzy służą kapitalizmowi — i wojnie, a tymi, którzy służą klasom pracujacym — i pokojowi, ta granica jest dziś jaśniejsza i wyraźniejsza. I coraz mniej jest ludzi, którzy dają się oszukać socjalistycznymi frazesami bez socjalistycznej treści. I coraz bliższą jest pełna jedność klas pracujących.

II

Istotę metody walki Kongresu o pokój ujął przedstawiciel tego narodu, który najwięcej dla utrzymania i utrwalenia pokoju uczynił i czyni. „Aby uniknąć wszelkich nieporozumień co do mego przemówienia, powinienem oświadczyć na samym wstępie, że chcę uprawiać propagandę. Chcę uprawiać propagandę za pokojem a przeciw sprawcom wojny" — powiedział Fadiejew. „Kultura mieszczańska wiele przyczyniła się do tego,

„Nigdy matki francuskie nie pozwolą swoim synom walczyć przeciw Związkowi Radzieckiemu" — Plakat pokojowy w Paryżu

aby wywołać odruch niechęci na samo słowo „propaganda", bowiem samo pojęcie „propaganda" służy w społeczeństwach mieszczańskich dla zakrycia rzeczywistości. Słowo stało się w społeczeństwie mieszczańskim i dla polityków, działaczy, a także uczonych mieszczańskich narzędziem mistyfikacji. Jeśli nie chcą, by ich społeczeństwa, by ich narody, poznały rzeczywistość (a lękają się tego z każdym dniem więcej i z każdym dniem bardziej bezskutecznie) mówią jak najgłośniej, jak najuroczyściej i jak najmętniej. Ale dla społeczeństw ludowych, dla społeczeństw socjalistycznych słowo jest narzędziem dla poznania rzeczywistości, propaganda jest narzędziem dla uczynienia rzeczywistości jak najjaśniejszą, jak najwyrazistszą dla wszystkich. I to zrobiły oba Kongresy pokoju, paryski i praski — a raczej jeden Kongres w dwóch miastach, dziś oddzielonych od siebie kurtyną ze złota i dolarów, w przyszłej Europie i w przyszłym świecie zjednoczonych tak, jak już są zjednoczone ich klasy pracujące w walce o wolność.

Najkonkretniej, najzwięźlej ujął istotne cele siewców wojny amerykański profesor, — nic dziwnego, wszak obserwuje ich główną kwaterę. Profesor Dubois powiedział: „Stany Zjednoczone pragną się stać największym wyzyskiwaczem pracy niewolników kolonialnych przy pomocy kontroli pracy i zysków w Europie, Azji i Afryce". Uczony z kraju planu Marshalla wskazał w jednym zdaniu na istotny sens tego planu, na istotny sens imperializmu w erze światowej supremacji Stanów Zjednoczonych nad wszystkimi państwami kapitalistycznymi. I wskazał tym samym, na czym polega zwycięstwo Stanów Zjednoczonych w II wojnie imperialistycznej. Tylko, że druga wojna imperialistyczna była równocześnie dla szeregu narodów pierwszą wojną wyzwoleńczą, stąd świat nie składa się dziś z samych państw kapitalistycznych. Dlatego dyktatorowi świata kapitalistycznego potrzebna jest trzecia wojna imperialistyczna.

I tu z kolei trzeba zacytować Zilliacusa. Mówiąc o rewolucji październikowej, o próbie, by „położyć kres pierwszej wojnie światowej przez rewolucję społeczną" dodał on: „gdyby im się to udało, gdyby rewolucja socjalistyczna rozciągnęła się na całą Europę, nie byłoby Hitlera ani Mussoliniego, ani drugiej wojny światowej". Jeśli się pamięta, że Zilliacus należy do tego samego stronnictwa, do którego należy Bevin, jeśli się pamięta, że pseudosocjaliści angielscy nie mają odwagi wykluczyć Zilliacusa ze swego stronnictwa, jeśli się przypomni, że sam pomysł wykluczenia w przyszłych wyborach kandydatury Zilliacusa z ramienia Partii Pracy wywołał burzę protestów w „dołach" partyjnych i w okręgu wyborczym Zilliacusa — to nie można nie doceniać znaczenia jego wystąpień. Zilliacus jest bez mała odosobniony w swej partii w Izbie Gmin. Zilliacus jest jednak nie do pokonania wśród swych wyborców. I to tłumaczy, dlaczego mógł powiedzieć to, co powiedział w zakończeniu swego przemówienia.

Zakończył on: „Robotnicy angielscy nie będą się bili dla utrzymania kapitalizmu w Europie. Nie będziemy się bili. Nie będzie wojny o to, co się nazywa „cywilizacją zachodnią". To byłoby idiotyzmem". Po nim zaś oświadczył Donald Henderson, przewodniczący amerykańskiego związku zawodowego pracowników wyżywienia i rolnictwa: „Amerykanie nie zapomnieli, że ich synowie żyją i że ich domy są całe tylko dlatego, że wielka i potężna armia czerwona oparła się faszyzmowi... Wierzcie mi przyjaciele, że nie uda się zmusić nas do wojny przeciw wielkiemu Związkowi Radzieckiemu, republice pracujących. Że nie uda się doprowadzić nas do tego, byśmy oddali nasze życie za Wall Street, za polityków Waszyngtonu, za dolara". I te dwa oświadczenia zasługują na wyróżnienie, jako jedne z najcenniejszych na Kongresie. Dlaczego? Bo są to oświadczenia przedstawicieli robotników krajów anglosaskich. Czyli dwóch krajów, jedynych wielkich krajów przemysłowych, w których większość klasy robotniczej nie jest jeszcze w szeregach partii komunistycznej, nie stoi za partią komunistyczną. Jeden ze składających to oświadczenie jest członkiem najbardziej przeżartego wpływami mieszczańskimi stronnictwa socjalistycznego, drugi nie jest nawet socjalistą, jest związany z partią Wallace'a. I oto pierwszy z nich stwierdza, że jedynym sposobem ocalenia Europy przed faszyzmem byłoby zwycięstwo haseł rewolucji październikowej w całej Europie, drugi widzi w Zw. Radzieckim ojczyznę pracujących. Jeden i drugi oświadcza, że klasa robotnicza jego kraju nie będzie walczyć przeciw Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji ludowej.

Przypomnijmy nieprzytomny, obrzydliwy, paszkwilancki wybuch pasji, gdy takie samo oświadczenie złożył Thorez imieniem klasy robotniczej Francji, Togliatti imieniem klasy robotniczej Włoch. To są komuniści. I oto zaczęły się wrzaski o „piątej kolumnie", o „ajentach Kominformu", o „zdradzie kraju", wołania o prokuratora. A obecnie mówi to samo członek i poseł ze stronnictwa rządzącego Anglią, mówi to przywódca tego związku zawodowego, od którego zależy aprowizacja Stanów Zjednoczonych. Stanowisko robotników różnych krajów wobec partii komunistycznej może być różne. Stanowisko mas pracujących całego świata wobec krajów socjalistycznych i zmierzających do socjalizmu jest wszędzie takie samo. I stanowisko klasy robotniczej wobec kapitalistycznych planów wojennych jest wszędzie takie samo. A można prowadzić wojnę, jeśli się udało oszukać własną klasę robotniczą, nie można jej prowadzić, jeśli własna klasa robotnicza widzi prawdę. I to jest właśnie — wracamy do Fadiejewa — „propaganda". Propaganda socjalistyczna. Pokazać prawdę masom pracującym świata. I to uczynił Kongres parysko-praski.

Trudno zaś znaleźć lepszy symbol tego dzieła, niż zakończenie pieśni Paula Robesona. Murzyńska pieśń o doli czarnych obywateli Stanów Zjednoczonych kończyła się dawniej słowami: „nie przestaniemy się żalić". W Paryżu Robeson śpiewał: „nie przestaniemy walczyć". Kongres był walką ludów o pokój. Front tej walki nie biegnie jakąś oznaczoną linią na ziemi, linią, którą by można wrysować w mapy wojenne. Front ten biegnie między safesem bankiera a izbą jego pracownika, między salą posiedzeń rady nadzorczej przedsiębiorstwa kapitalistycznego a halą fabryczną tego przedsiębiorstwa, między pracownią uczonego a gabinetem wielkiego kapitalisty, który czeka, by wynalazek uczonego przemienić na dolary na swym rachunku bankowym. I fronty, które się dadzą wyrysować na mapie można przełamać, i armie, których pozycje można wyrysować na mapie, można okrążyć i rozbić. Ale takiego frontu nie można przełamać, takich armii nie można okrążyć. Takiego zaś frontu, takich armii wyrazem był Kongres Pokoju.

„Pokoju, pracy, chleba". Z demonstracji antywojennych we Włoszech

W OSTATNIM NUMERZE „WSI" Nr 19 (198) z dnia 8 maja 1949 r.:

Konstanty Grzybowski — Młodzież robotniczo chłopska na wyższych uczelniach; **Bogdan Suchodolski** — Podstawy wychowania; **Paul Jamati** — Wiersz — przekład z franc. **Jana Guranowskiego; Wiesław Jażdżyński** — Ochrona pracującego człowieka; **Anna Kamieńska** — Trylogia wiejska Stanisława Piętaka; **Leszek Lorek** — Wiersz; **Józef Bałtuszis** — Pieją koguty; **Semen Babajewski** — Jak Prochor zostaje elektrykiem; **Zygmunt Krogulski** — Wiersz; **Jerzy Miller** — Anna Proletariuszka; **Aniela Łempicka** — Książki KUK. **Józef Pogan** — Spotkanie klasowe **Jerzy Pomianowski** — Przyczynek do przekładów A. Czechowa; **Jerzy Waleńczyk** — Życie literackie Białorusi; **Paulina Czyżowa** — O wychowanie marksistowskie; **Władysław Błachut** — Listonosz wiejski i kultura; **Józef Grabowicz** — W sprawie wyższych kursów korespondencyjnych; Fakty i zdania; 25 ilustracji; 12 stron.

Wacław Kubacki

SATYRA W „DZIADACH" MICKIEWICZA

Pisząc i ogłaszając poszczególne części „Dziadów", Mickiewicz nosił się z myślą spojenia kiedyś wszystkich fragmentów w jedną kompozycyjną całość i stworzenia w ten sposób dzieła, które by ogarnęło wszystkie żywioły jego twórczości i wyraziło pełnię poglądów etycznych, społecznych i politycznych.

Ludowy obrzęd „Dziadów", który dostarczył poecie kompozycyjnego schematu do tak szeroko i głęboko pojętego utworu, przez swą tendencję moralną, elementy popularnej filozofii i gnomiczną formę pozwalał na wypowiedzenie w literackich symbolach ogólnych myśli o życiu i celu człowieka na świecie.

Próba charakterystyki satyrycznego żywiołu w „Dziadach" prowadzi do następujących spostrzeżeń: w II części góruje satyra społeczna; część IV, poświęcona przeżyciom osobistym, zapowiada pojawienie się satyry politycznej; nie wydana za życia poety część I przedstawia jakby fazę przejściową między ogólną II częścią i prywatną IV częścią „Dziadów"; część III, najdojrzalsza i najbogatsza, zawiera różne formy satyryczne z przewagą tonu społeczno-politycznego.

Część II „Dziadów" odzwierciedla w głównych zarysach etyczno-społeczne poglądy epoki racjonalizmu, myśl o konieczności podporządkowania pragnień, dążeń i marzeń jednostki — dobru ogółu, zasadzie społecznego obowiązku. Racjonalizm epoki wyraża się w akcentowaniu realizmu życiowego, jako zasady bytu. Mickiewicz wypowiada tę myśl w poetycko-symboliczny sposób stawiając za warunek szczęścia: zapoznanie się z cierpieniem, doświadczenie bólu, zetknięcie się z ziemią, słowem przeżycia prawdziwej ludzkiej doli.

Para szczęśliwych na świecie dzieci — aniołków, nie może się dostać do nieba i prosi o dwa ziarna goryczy, bo

„Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie".

Pasterka Zosia, która przeigrała całe życie i wymigała się nawet od tak skromnej postaci społecznego obowiązku jak małżeństwo, wyznaje:

„Żyłam na świecie, lecz, ach, nie dla świata!"

Za karę rzuca nią bez przerwy wiatr od ziemi pod niebo, albowiem

„Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie".

Nawet taka krwawa satyra na życie szlachty i ucisk chłopa, jak widmo złego pana, obleka się w etyczno-filozoficzną szatę Oświecenia. Zły pan przez swą nieludzkość sam się wyłączył z gromady ludzkiej, odciął się od ludzkiego gatunku i dlatego ludzie nie mogą mu pomóc:

„Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże".

Na dydaktyczny charakter dzieł młodego Mickiewicza od dawna zwrócono uwagę. Niektórzy badacze wytykali poecie surowość moralną, inni moralizatorstwo, twierdząc, że autor II części „Dziadów" wprowadza zjawy w tym celu, żeby mieć sposobność do wygłoszenia morału.

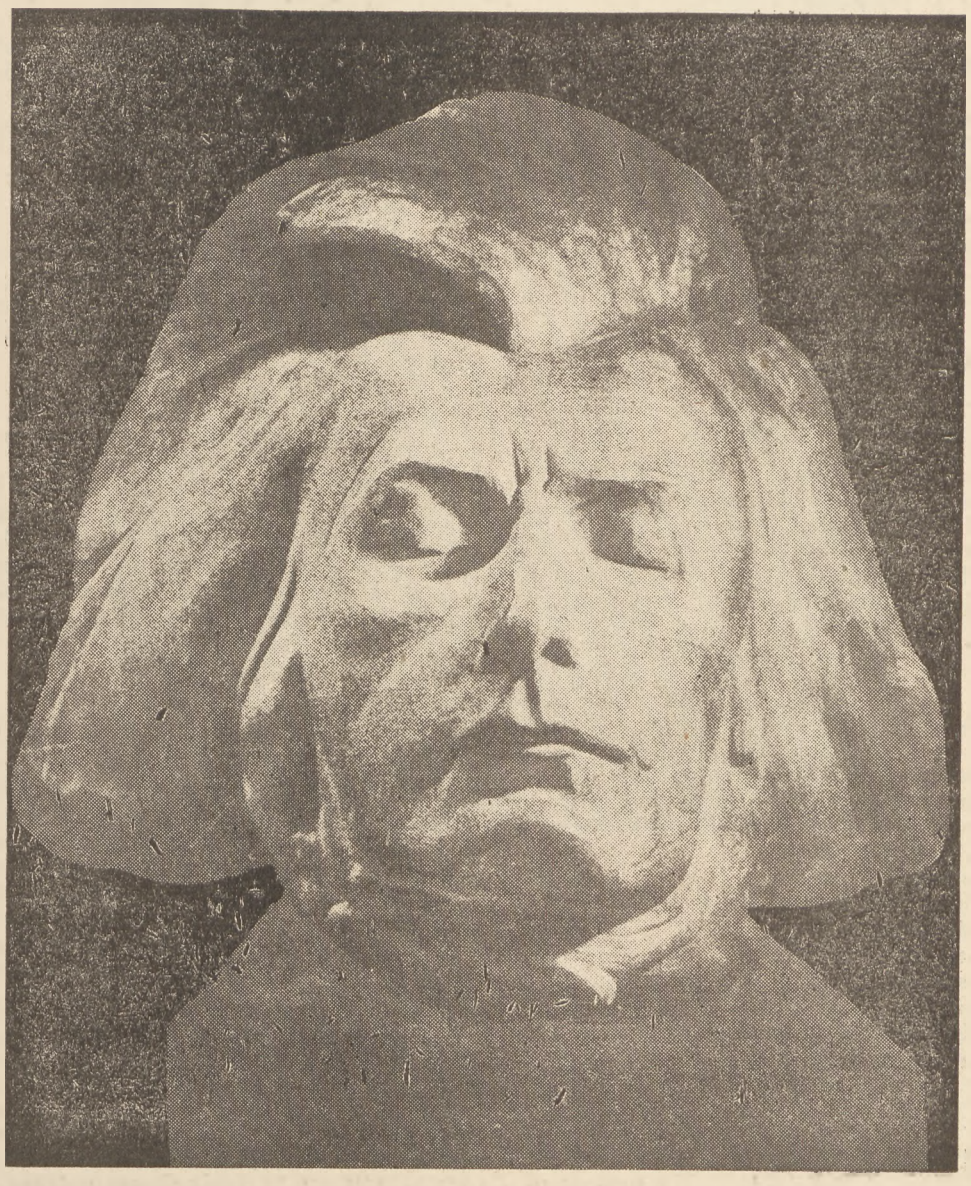

X. Dunikowski — Adam Mickiewicz

Ze stanowiska powszechnie przyjętych norm wydawało się zbyt srogie ukaranie pasterki Zosi za to, że nie chciała sobie wybrać męża. Osiemnastowieczna nauka moralności uważała małżeństwo za obowiązek społeczny. Grzech Zosi z II części i Gustawa z IV części „Dziadów" zaliczało Oświecenie do grzechów nietowarzyskości, czyli do wykroczeń przeciw społecznej zasadzie życia. O miłosnym obowiązku kobiety często pisali poeci Oświecenia. Publicystyka i satyra racjonalistyczna zajmowały się tym wykroczeniem, zwanym potocznie w epoce „sentymentalnością" i „lekkomyślnością przyjemną", a nawet porównywały tego typu grzeszników do motyli! „Z motylami równa was lekkość, pstrocizna i niestałość" — pisał jeden z Wileńskich Szubrawców.

Szczególnie wzrusza nas dzisiaj los dzieci z II cz. „Dziadów", które nie były winne temu, że z powodu młodocianego wieku nie zdążyły nic zrobić dla świata.

Na smutny los dzieci trzeba patrzeć ze stanowiska racjonalistycznej etyki, która głosiła wzniosłe ideały humanitaryzmu i solidaryzmu. Zdolność współczucia i gotowość przyjścia z pomocą niedoli była probierzem moralności. Moraliści Oświecenia uważali, że przyzwyczajenie do dobrobytu i wygody, niezaznanie biedy, czynią człowieka niewrażliwym na cudze nieszczęście. Nieszczęśliwy współczuje nędzy pospolicie więcej, aniżeli ów, który nigdy nie doświadczył przykrych odmian losu. Dzieci-aniołki, jakby wynikało z ich beztroskiego szczebiotu, były dziećmi zamożnych rodziców; nawet badacze starego autoramentu uważali je za dzieci właścicieli ziemskich. Zbytni dobrobyt, nadmiar słodyczy mogłyby łatwo — w myśl etyki Oświecenia — zatwardzić ich serca na niedolę bliźnich. Z takiego aniołka mógłby łacno wyrosnąć — Zły Pan.

Prócz etyki racjonalistycznej trzeba jeszcze brać pod uwagę fakt, że dzieła artystyczne są czymś więcej, niż odbiciem otaczającej nas rzeczywistości. Jest to moralność, którą można by nazwać moralnością dzieła literackiego. Kara w utworach literackich bywa zwykle większa niż przestępstwo. Taka jest główna cecha moralności literackiej. Nie jest to bowiem tylko moralność systemów etycznych i kodeksów prawnych, przykrojonych na miarę słabości ludzkiej. Jest to moralność dzieł sztuki, czyli idealnych konstrukcji społeczno-moralnych.

„Dziady" należą do tzw. budującego rodzaju twórczości. Dydaktyzm idzie tu w parze z przypowieścią moralną. Ustęp poświęcony Złemu Panu to przykład klasyczny.

Według popularnych mniemań moralnych warstwy szlacheckiej XVIII wieku Zły Pan mógłby się był wyspowiadać na łożu śmierci, zapisać wieś jakiemuś klasztorowi z obowiązkiem odprawiania wieczystej mszy za swą duszę i zapewne poprawiłby w ten sposób szanse swego zbawienia. Takie jednak rozwiązanie w poemacie mogłoby mieć nieprzyjemny posmak. Widmo nie działałoby tak silnie na widzów, jak działa obecnie. Poza tym zgromadzeni na Dziadach mogli odejść do domu w przeświadczeniu, że wymierzono im sprawiedliwość przynajmniej na tamtym świecie i przynajmniej w imię kodeksu literackiego, kiedy inne zbiory praw zawiodły. Przejmująca opowieść o Złym Panu jest społeczna treściowo, tematycznie. Przyświeca jej jednak osiemnastowieczna idea solidarystyczna. Kmiotkowie pragną przyjść z pomocą nieludzkiemu panu. Świecki solidaryzm gatunku ludzkiego i religijny solidaryzm „świętych obcowania" podały sobie ręce. Zgromadzeni nocą na Dziadach wieśniacy nie zrobią rewolucji!

W indywidualistycznej — ogólnie biorąc IV części „Dziadów" mamy pewną niespodziankę. Z prywatnej sprawy Gustawa rozwija się wątek społeczny. Zawód miłosny bohatera odsłania w pewnym momencie powikłania klasowe. Przez głowę oszalałego, nieszczęśliwego kochanka przelatuje myśl o zemście, w której odzywa się echo krzywdy klasowej. Z powodu tego ustępu St. Windakiewicz w swej książce o Mickiewiczu wspomniał o „zaciekłości ubogiego proletariusza".

W IV części „Dziadów" Mickiewicz-romantyk stworzył postać nieuspołecznionego, zagłębionego w swoim nieszczęściu, umarłego dla świata Gustawa; równocześnie jednak racjonalistyczny ideał człowieka żyjącego w gromadzie ludzkiej, ideał na którym wyrósł Mickiewicz — filomata, kazał poecie przezwyciężyć tę w danej sytuacji życiowej bliską mu postać literacką. Ksiądz jasno określa, na czym polega wina Gustawa.

Jest to wina ziemska:

„Przeciw światu i przeciwko sobie
Cięższe twoje, niżeli przeciw Bogu, grzechy.
Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy,
Ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi".

Temu wewnętrznemu rozdwojeniu poety odpowiadał rozdział ról w dramacie pomiędzy Księdza i Gustawa.

Mimo, że obrzędowo-misteryjna forma dzieła mogła nasunąć metafizyczne, „zaświatowe" rodzaje kaźni za to przestąpienie, poeta skazuje Gustawa na karę realną, ziemską. Gustaw zdaje się wyznawać racjonalistyczną zasadę odpłat „systemu fizyczno-moralnego", że użyję terminu kołłątajowskiej etyki. Księdzu pragnącemu przyjść mu z pociechą religijną Gustaw odpowiada, by tę pomoc zachował dla innych:

„Im więc nieś ulgę prośbą i mszalną ofiarą;
Dla mnie oprócz wspomnienia, nic więcej nie proszę.
Za grzech mój życie było dostateczną karą".

Nie jedyny to ślad przełamywania się dwu stylów, walki klasycyzmu z romantyzmem w IV części „Dziadów", która niesłusznie uchodzi za dzieło typowo romantyczne.

Analizie mickiewiczowskiej satyry rzuca także na tę sprawę interesujące światło. W omawianej części mamy kilka ubocznych wątków satyrycznych. Jeden to satyra obyczajowa typu osiemnastowiecznego, satyra na lichwiarza, który po śmierci został kołatkiem robaczkiem toczącym drzewo kantorka. Dwa dalsze wypady satyryczne świadczą już o bliższym kontakcie z rzeczywistością polityczną. Jest to satyra na carską cenzurę, dążącą do zniszczenia oświaty w podbitym narodzie i na prześladowców patriotycznej młodzieży wileńskiej.

„Dziady" w Teatrze Narodowym w Warszawie
Fot. J. Malarski

Salvatore Quasimodo

PROŚBA

Wasze bębny przestały wybijać rytm śmierci
pod sklepieniami wszystkich horyzontów,
pod całunami wplecionymi w sztandary,
nie błagają więcej o litość rany i łzy
w miastach leżących w ruinie.
I nikt nie woła: „Panie, mój Panie,
czemuś mnie opuścił?" I nie cieknie już mleko
ni krew z piersi rozdartej. Więc teraz wy,
coście wśród magnolii skryli armaty,
dajcie nam dzień jeden bez broni
na trawie, przy szmerze wody płynącej
i świeżej trzciny wplątanej we włosy,
w uścisku dziewczyny, co kocha.
Niech nie zabrzmi znienacka przed nocą
godzina zaciemnienia. Dzień, jeden
jedyny dzień, o władcy tej ziemi,
zanim znów zadudni w powietrzu żelazo
i odłamek wypali nam czoło.

Tł. A. K.

CHIŃSKIE PIEŚNI LUDOWE*)

Nie Yi-tsung (IX w.)

CHŁOPI

Ojciec pracuje na polach nizinnych,
Syn karczuje krzewy u podnóża góry,
W szóstym miesiącu zboże jeszcze nie kiełkuje
(lecz w domu urzędnika przygotowują już spichrze).
Raz jeszcze skopują pole w słońcu południa,
Krople potu spadają na zboże i ziemię,
Kto pomyśli — że w garnuszku z pożywieniem
Każde ziarno dla nich jest troską i cierpieniem.

Ma-Tai (IX w.)

STARY CHŁOP

W chwilach wolnych chłop sadzi drzewka,
Te drzewka zestarzeją się przed nim.
Jego dom stoi na górze pośród białych chmur,
On łowi i sadzi drzewka na brzegu błękitnego morza,
Córce swej każe zbierać górskie zioła,
Prowadza cielęta do czystej wody —
Sam ustanowił prawa dla swego życia,
Bez niepokoju i troski jego ostatnie lata.

Tai-Ping (XIII w.)

SEKWESTRATOR

Dlaczego pies tak gwałtownie ujada?
Urzędnik stoi przed moimi drzwiami,
Naprędce ubrany — otwieram,
To skarbnik podatkowy, każe mi płacić.
Jestem bardzo biedny, o zwłokę błagam,
Lecz to przyprawia go jedynie o gniew,
Potrąca mnie, wchodzi do mojego domu,
Do domu, gdzie nie ma nic do zabrania.
Chcę pożyczyć od mego sąsiada,
Lecz jego kufer także pusty.
Pieniądze, pieniądze! Jakże trudno je posiąść,
Oto sam jestem i smutny — nie mam nic.

Mei Yao-tchen (XI w.)

DO PRZYJACIELA, KTÓREMU URODZIŁA SIĘ CÓRKA

Gdy rodzi się chłopiec, wszyscy się cieszą,
Gdy rodzi się dziewczynka, wszyscy się wstydzą,
Gdy rodzi się chłopiec, biegną zawiadomić sąsiadów,
Gdy rodzi się dziewczynka, wydłużają się twarze,
Gdy syn rośnie, zajmuje się książkami i poezją,
Gdy dorasta dziewczynka, poleca się jej staranie o podwórze.
Kiedyż nadejdzie chwila, gdy zjawi się młodzieniec
I pozdrowi w jadalnej sali — starych teściów?

PIOSENKA

U sąsiadów na prawo chłopak co noc się włóczy,
A sąsiedzi na lewo mają córkę niewinną.
Przed portalem, w listowiu jest już zupełnie ciemno,
Słońce spać się układa — kto się skrada pod murem?

Fang Yi-tche (XVII w.)

* * *

Gdy syn opuszcza rodziców
Łzy wylewa przed dziećmi i żoną;
Gdy córka opuszcza rodziców
Choć płacze — jej serce jest zadowolone.

Wang-Han (VII - VIII w.)

* * *

Wino z winnicy mieni się w kielichu,
Chcę pić, lecz słyszę apelu trąbki.
Ja usnę w polu pijany. Nie śmiejcie się —
Od dawien dawna niewielu wraca z wojny.

Tai Ping (XIII w.)

PIOSENKA

Błoto jest bardzo śliskie, błoto jest bardzo śliskie,
Droga jest bardzo długa, deszcz bezustannie pada.
Na dziesięć kroków, które stawiam, potykam się dziewięć razy.
Mój koń brnie śmiało, lecz wlecze się jak żółw kulawy.
Błoto jest śliskie, błoto jest śliskie — lecz nie jest mi smutno,
Gdyby ryż spaliła susza, gdyby zmarniały zboża — o ileż byłoby smutniej.

Yang - Fang

* * *

Jestem sam w pustej sali,
Troska mnie przeszywa tysiącem strzał;
Smutne echo odpowiada mym westchnieniom.
Płacząc wypowiadam swój żal.
Błądzę niepewny, rozglądam się dokoła,
Jasne słońce na zachodzie kładzie się spać,
Nie widziałem jej. Nie przeszła ta, którą kocham.
Ptaki zmęczone lataniem wracają do gniazda.
Szczęśliwe ptaki, odnajdują swe miejsce,
Zbierają się razem przed nocą, która zapada.

Kao Yuan-tchen (VII w.)

PIOSENKA WIOSENNA

Rzeki przybierają na wiosnę;
na brzegach rzek gaje bambusowe,
liście drzew potrąca woda,
tak we mnie dla ciebie uderza serce.

Fu-Hiuan (X w.)

WÓZ SIĘ TOCZY

Wóz się toczy,
rwące konie,
moja myśl ci towarzyszy
i opuścić cię nie może.

Gdzie odchodzisz?
Oddalasz się na zachód,
chciałbym być twoim cieniem,
by iść za tobą wszędzie

Gdy jesteś w ciemności
nie widzę twego cienia;
chcę patrzyć na ciebie,
bądź zawsze w świetle.

*) Z „Anthologie raisonnée de la Littéra ture Chinoise“ — Payot — Paris — 1948. — Przekład — Mieczysławy Buczkówny.

Wincenty Jędrkiewicz

O CHOPINIE

Lata młodzieńcze Fryderyka Chopina były okresem wielkich przemian ekonomicznych i gospodarczych w Polsce. Na Wiśle pojawiły się wówczas pierwsze parostatki, budowane w Nantes według projektów inż. Guiberta. Cały kraj zaczęła pokrywać sieć dróg bitych, a Wilhelm Kolberg, serdeczny przyjaciel wielkiego kompozytora, opracowywał zrealizowane później plany budowy pierwszych kolei na terenie Królestwa Kongresowego. Dzięki inicjatywie i energii ministra Ksawerego Druckiego-Lubeckiego i Rajmunda Rembielińskiego, Prezesa Komisji Województwa Mazowieckiego, na miejscu niedawnych pastwisk i ugorów powstawały fabryki, cukrownie, cegielnie. Był to okres narodzin łódzkiego okręgu przemysłowego. Rajmund Rembieliński po swoim powrocie z Łodzi (wówczas — miasteczko, niewiele się od wsi różniące) słuchał muzyki małego Chopina, rozmawiając ze starszymi o planach zamienienia małej osady w wielkie miasto przemysłowe.

Wyraźniej, niż w jakiejkolwiek innej epoce, zaczęły zjawiać się wtedy w Polsce oznaki przemian gospodarczych tworzących wielki przemysł fabryczny i równocześnie powołujących do życia masy robotnicze, które kapitalizm z natury swej obdarzał widmem bezrobocia i nędzy. Na zachodzie Europy, gdzie wielki przemysł powstał dużo wcześniej, problemy nędzy proletariackiej i niesprawiedliwości społecznej stały się w tym czasie bardzo aktualnymi zagadnieniami, absorbującymi umysły wielu myślicieli, a przede wszystkim Henri de Saint-Simon'a, którego dzieła „Système industriel“ (1821) oraz „Catèchisme des industriels“ (1824) przyjęto za ewangelię ludzi postępu. W dziedzinie ideologii ludzkiej pojawił się tzw. „socjalizm utopijny“, a więc marzenie o stworzeniu bez walki takiego ustroju, w którym rosnące uprzemysłowienie kraju nie będzie łączyło się z materialnym niedostatkiem mas, lecz przeciwnie: zapewni wszystkim możność wspólnego korzystania z dobrodziejstw postępującej naprzód industrializacji. Myśli o sprawiedliwości społecznej, nowe prądy, przepływały z Francji do Polski. Młodzież entuzjazmowała się nimi. Widziała w nich drogi, wiodące do nowego, lepszego świata. A między tymi, którzy chcieli tworzyć ten nowy świat, znajdował się także i Chopin.

Biografowie wielkiego kompozytora nie zwracali dotychczas prawie żadnej uwagi na postępowość jego poglądów i myśli. Fryderyk Chopin, jak gdyby na przekór wszystkim sentymentalnym damom, które słuchają jego muzyki z twarzą ukrytą w dłoniach i romantycznym uniesieniem w duszy, był przecież rewolucjonistą i postępowcem. I rewolucyjność ta nie powstała w nim dopiero na Zachodzie, gdzie był bezpośrednim świadkiem wielkich wydarzeń i przemian, ale początek jej i źródła tkwiły w jego latach młodzieńczych, w okresie warszawskim. Był wówczas taki moment w życiu Chopina, w którym poczuł się on najzupełniej wyzwolony od uroku białych dworków, oplecionych winem. Sprawy, o których ze zgorszeniem mówiono przy wiejskiej kawie ze śmietanką, nie budziły w nim odrazy. Chopin, miłośnik wsi, pokochał Warszawę. Znalazł tam krąg przyjaciół, którzy zaczęli odkrywać mu nowe. nieznane światy idei i myśli. Fryderyk mówił i pisał o sobie zawsze bardzo mało, ale same nazwiska ludzi, którymi się otaczał, i miejsca, gdzie najchętniej przebywał, mówią o nim dużo.

Eustachy Marylski z Pęcic, wychowanek pensjonatu rodziców Chopina, trochę ludoman, a przede wszystkim zagorzały saintsimonista, należał do najserdeczniejszych przyjaciół Fryderyka O nim to właśnie pisał Adolf Nowaczyński w swej książce „Młodość Chopina“:

„Naczytał się Saint-Simona czy jakichś tam, w Warszawie poprzyjaźnił się z ultrademagogiem Maleszewskim (Piotr, syn z lewej ręki księcia Michała Poniatowskiego), no i w głos na salonach przy weselach, w kawiarniach. na recepcjach powtarzał swoje okropieństwa, a to o możnowładcach — dziedzicznych wydziercach, a to o głodzie, chłodzie, ciemnocie, a to, że pałace godzi się wypróżnić. możnowładców przepędzić, kmieciom ziemie rozdać, żadnych poszkodowań w zamian nie wręczając, itp. Obywatelski syn! Ziemiańskie dziecko! Tyle lat temu!“

Pomijając ironiczny ton Nowaczyńskiego, jaki cechuje zawsze publicystów endeckich. kiedy piszą o sprawach postępu, należy przypuszczać, że od Marylskiego Chopin czerpał najwięcej wiadomości o przemianach społecznych, które mają nadejść, i o konieczności zaprowadzenia między ludźmi równości i sprawiedliwości. Z listów naszego kompozytora wiemy, że jego stosunki z młodym dziedzicem z Pęcic były przyjazne, serdeczne i trwałe.

Eustachy Marylski nie był jednak jedynym przewodnikiem duchowym młodości Fryderyka. Wspomniany już prezes Rajmund Rembieliński, stryj tak bardzo przez Chopina uwielbianego pianisty Aleksandra, Stanisław Staszyc, po którym kompozytor chował „na pamiątkę“ kawałek kiru, okrywającego trumnę wielkiego społecznika, poeta-profesor Kazimierz Brodziński i wielu, wielu innych — nauczyli Chopina widzieć w prostym ludzie wiejskim tę siłę, do której należy przyszłość narodu i państwa. I to, co Norwid pisał o Chopinie, że „podnoszenie ludowych natchnień do potęgi przenikającej i ogarniającej ludzkość całą — podnoszenie ludowego do Ludzkości... wysłuchać się daje z Muzy Fryderyka...“, to głębokie i trafne sformułowanie istoty chopinowskiej sztuki było niewątpliwie tylko wynikiem poglądów i myśli kompozytora, ukształtowanych w młodości. Artystyczna wyobraźnia Chopina była jak najbardziej muzycznie „czysta“. Nie znał i nie miał on innych sposobów wypowiadania się, jak tylko przez muzykę. Dlatego w muzyce Chopina zamknięta jest cała jego miłość do prostych ludzi wiejskich, cała jego ideologia i światopogląd.

W kawiarni Brzezińskiej na ul. Koziej w Warszawie, gdzie Chopin bywał codziennym gościem, spotykał on swoich serdecznych przyjaciół i rówieśników. Był między nimi rewolucjonista i trybun ludu Maurycy Mochnacki, autor pierwszej recenzji, jaka się o

Chopinie pojawiła w ówczesnym „Kuryerze Polskim", byli bracia Wilhelm i Antoni Kolbergowie, kilku młodych muzyków oraz Dominik Magnuszewski, którego powieść „Małgorzata z Zębocina, czyli Krwawy chrzest" miała wiele znamion niefałszowanego realizmu. Omawiano tam nie tylko sprawy artystyczne, ale dyskutowano szeroko na tematy aktualnych zagadnień społecznych i ekonomicznych. Maurycy Mochnacki zapoznał Chopina w kawiarni Brzezińskiej z problematyką „Konrada Wallenroda". Tam — jak pisze Nowaczyński w cytowanej już książce — dowiedział się Chopin, „czego właściwie chciał i co planował major czwartaków Łukasiński". I tutaj po raz pierwszy, ilu to młodych rówieśników i za co siedzi za kratami, w klauzurze „u Karmelitów na rekolekcjach". Rozmowy te wywierały wielkie wrażenie na Chopinie. Jego patriotyzm, nienawiść do caratu i miłość Ojczyzny rozgorzały płomieniem wielkim i silnym. „Czemu nie mogę być chociaż doboszem i bić w bęben?!" — pisał na wieść o wybuchu w kraju Powstania Listopadowego. Niektóre fragmenty jego notatek podróżnych, a zwłaszcza to, co pisał w Sztutgarcie w sierpniu 1831 roku po zdobyciu Warszawy przez Paskiewicza, siłą patriotycznego uczucia dadzą się jedynie porównać z Wielką Improwizacją z III części „Dziadów":

„O Boże iesteś Ty! — Iesteś i niemścisz się! Czy ieszcze ci niedość zbrodni moskiewskich — albo — alboś sam Moskal!...

... — a ja tu z gołemi rękami — czasem tylko stękam bolesię na fortepianie... Boże boże wzrusz ziemię... niech pochłonie ludzi tego wieku —"

Nastrój Chopina, wyrażony w powyższych notatkach, był dla niego tym samym, czym dla Mickiewicza „bania poezji", która rozbiła się nad głową poety w katedrze drezdeńskiej. Skomponowane w tym czasie utwory Fryderyka, jak Etiuda C-moll, zwana „Rewolucyjną", oraz Preludia A-moll i D-moll, są pieśniami, wzywającymi do odwetu i zemsty. Całkowite zespolenie duszy artysty z duszą swego narodu stało się w tych kompozycjach faktem dokonanym.

W warszawskim okresie Chopina powstała między innymi część Etiud z Op. 10, a poza tym oba Koncerty fortepianowe, Mazurki z Op. Op. 6 i 7, Fantazja na tematach polskich Op. 13 oraz Krakowiak „Grand Rondeau de Concert" Op. 14. Były to utwory, skomponowane w „urbanizacyjnym" okresie kompozytora, w atmosferze gorących dysput w Café przy ul. Koziej, o których pisze biograf Fryderyka:

„Na Frysia robiło to wszystko, co tam mówiono, niepomiernie wielkie wrażenie. Zanadto się tym przejmował i za czule brał to do serca. Słuchał żarliwie zapalczywych dyskursów tych znanych pisarzów rzeczy ojczystych...

I tyle takich nowych nazw i nazwisk, i terminów, i maxymów, i doktrynów... Saint-Simon... Dekabryści... Delimitacja... Gminowładztwo... Cenzura... Liberalizm... Masony... Jezuity... Carat.. Przywłaszczenie.

Czasami całą noc nie spał, kiedy powracał z kawiarni rozkłóconej..."

Nie zaryzykujemy nic i nie przesadzimy, jeśli powiemy, że właśnie przyjaźń z rewolucjonistą Mochnackim, z saint-simonistą Marylskim, z budowniczym kolei Kolbergiem i innymi rzuca wiele światła na ideologię kompozycji Chopina, pochodzących z ostatnich lat jego pobytu w kraju.

W kilka lat później, kiedy Chopin dla ratowania swego zdrowia wyjechał z George Sand na Majorkę, gdzie opracowywał i przygotowywał do druku Preludia Op. 28, książką ,która go najbardziej wówczas interesowała, była „Economie politique" Jean Reynaud'a oraz socjalistyczno-utopijne pisma Pierre Lerroux, zebrane następnie w dwutomowym dziele pt. „De l'humanité, de son principe et de son avenir" (1840). Jean Reynaud, pisarz polityczny i filozof, autor znanego traktatu „Terre et ciel", przeprowadzał w swoich dziełach — podobnie jak i Lerroux — ideę ustawicznego postępu natury do doskonałości. Doskonałość ta to prawo powszechne, tajemnicza Triada, potrójna harmonia zmysłów, uczucia i rozumu. Z filozofią Reynaud'a i Lerroux zapoznał się Chopin za pośrednictwem George Sand.

W liście z dnia 15 marca 1839 roku pisała ona do swej przyjaciółki Marliani: „Wspaniałą nauką jest „Ekonomia polityczna" Reynaud'a. W przeddzień naszego wyjazdu z klasztoru Kartuzów przeczytałam ją całą głośno Chopinowi i Maurycemu (syn George Sand — prz. mój), a oni nie opuścili z niej ani jednego słowa" Zainteresowanie, z jakim Chopin słuchał tej lektury, to „nieopuszczenie z niej ani jednego słowa", dużo mówi o jego skłonnościach ideologicznych. Mówiąc o wrażeniach, jakie wywarły na niej i na Fryderyku wywody Reynaud'a i Lerroux, George Sand pisze dalej: „Są to niewątpliwie dwaj ludzie przyszłości, a ludzkość, która ich dziś nie zna, wzniesie im pewnego dnia ołtarze".

Dzieła i myśli Pierre Lerroux dostarczyły Chopinowi szczególnie silnych wrażeń. Jean Larnac pisze w wydanej niedawno książce pt. „George Sand révolutionnaire", że Chopin pod ich wpływem zmężniał, nabrał odwagi i z wiarą zaczął patrzeć w przyszłość. „Razem z innymi wygnańcami polskimi tęsknił on stale za dniem, w którym granice jego Ojczyzny otworzą się przed Wolnością". Do domu swej przyjaciółki wprowadził wówczas Mickiewicza, Niemcewicza i innych i wszyscy razem z wielką pisarką francuską snuli plany sprawiedliwego urządzenia Polski według zasad i idei Pierre Lerroux.

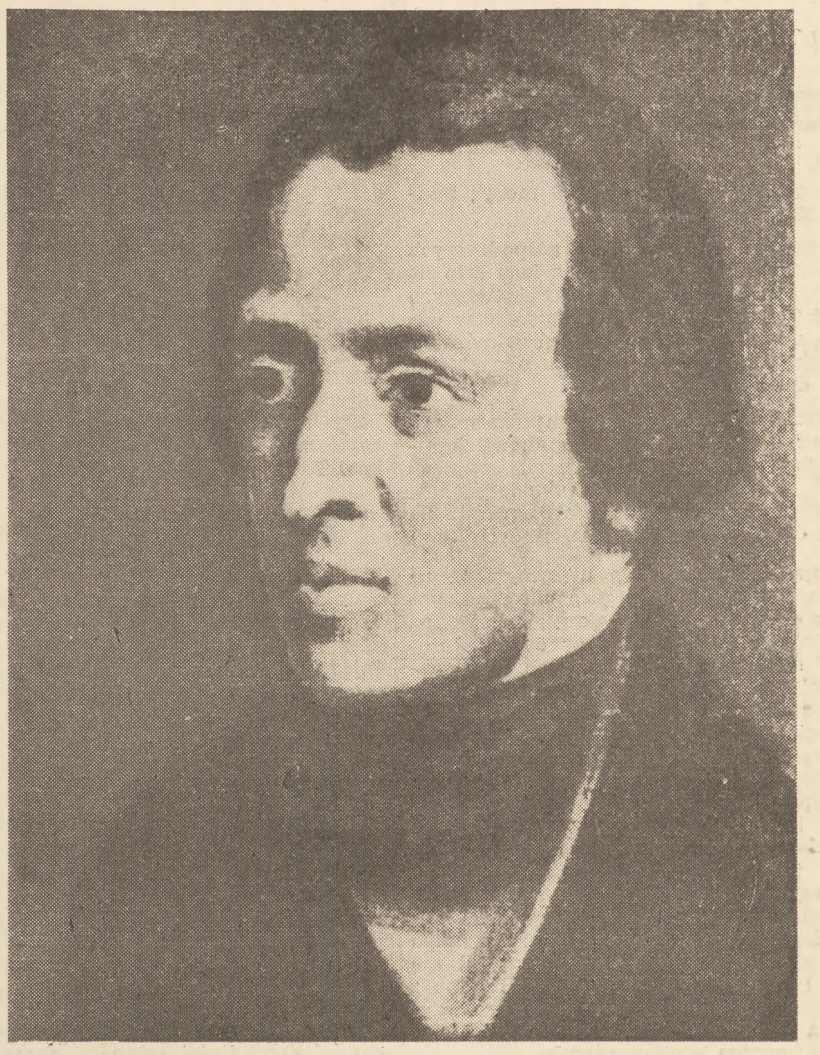

Fryderyk Chopin

Mal. A. Kolberg 1848 r.

Te wspólne zebrania rychło się jednak skończyły. Emigracja polska we Francji była niesłychanie skłócona wewnętrznie, a Chopin był za trzeźwy na to, aby nie zniechęcić się do atmosfery ustawicznych intryg, sporów i czczych, jałowych dysput. Dał on wyraz temu w jednym z listów, pisanych do Delfiny Potockiej, którego daty nie można ustalić i który nigdy nie został jeszcze w całości — jak i inne listy Chopina do Potockiej — opublikowany:

„Onegdaj w klubie byłem. Kłócą się tam, jak zawsze, ten z tym, tamten z owym nie gada.

Wtedy się sprzeczali, żeby w gazecie słowo „narodowość" zamienić na „polskość" — jedni prozelitami, drudzy przeciwnikami tej zamiany byli. Potem rzucili się na mnie, że zamiast operę narodową pisać albo symfonię, łaskoczę nerwy po salonach i piszę głupie exercisy. Jeżeli nie operę, to nie powinienem nic innego tworzyć, jak tylko mazury, a polonezy. Bo to narodowa polska muzyka.

Boże uchowaj, czego nie nagadali!!!

Milczałem, bo jak nie czują, to im polskości palcem w moich nutach nie pokażę. Mickiewicz też z fajką milczał.

Chciałem psikusa wyrządzić, zagrawszy im majufesa w rytmie polonezowym, czułem, popłakaliby się, reszta byłaby ukontentowana, że to narodowe polskie non plus ultra.

Ale mię nagle chęć do psikusów odeszła, zrobiło się gorzko i smutno, na płacz się zbierało i wyszedłem, nie żegnając się z nikim".

Robili więc rodacy Chopinowi wymówki, że muzyką swoją „łaskocze nerwy po salonach", ale mało kto z nich wiedział, jaki jest rzeczywisty stosunek Chopina do owych salonów. W liście jego, pisanym w roku 1832 do Dominika Dziewanowskiego, czytamy:

„Wszedłem w pierwsze towarzystwa..., stamtąd niby dobry gust wychodzi; zaraz masz większy talent, jeżeli cię w ambasadzie angielskiej albo austryackiej słyszano; zaraz lepiej grasz, jeżeli cię księżna Vaudemont protegowała... Pięć lekcyi mam dziś dać; myślisz, że majątek zrobię? Kabryolet więcej kosztuje i białe rękawiczki, bez których nie miałbyś dobrego tonu. Kocham Karlistów, nie cierpię Filipistów, jestem sam rewolucyonistą, a więc z pieniędzy nic sobie nie robię, jeno z przyjaźni, o którą cię błagam i proszę".

Pisaliśmy już, że pewne fragmenty notatek podróżnych Chopina wywołują mimowoli analogię z Wielką Improwizacją Mickiewicza. Ogień patriotyzmu płonął w nich jednakowo silnie. Uczucia Chopina były jednak zawsze bardziej zwarte i bardziej zdyscyplinowane. Chopin był bodaj największym realistą wśród wszystkich twórców okresu Romantyzmu polskiego. Kiedy egzaltacja patriotyczna Mickiewicza i Słowackiego przechodziła chwilami w mistycyzm, Chopin był zawsze od tego najzupełniej wolny.

W jednym z listów jego do Delfiny Potockiej pisał on o Mickiewiczu i jego związkach z Towiańskim:

„Gdy trzoda za pastuchem idzie, to rzecz zwyczajna i znana. Ale straszne, gdy duch wielki za pastuchem między bydłem z uwielbieniem biegnie.

Mickiewicz jako adept Towiańskiego bardzo mię turbuje.

Że tamten, zręczny oszust, durniów otumaniwszy, za sobą ich ciągnie, to śmiać się można z tego, ale Mickiewicz wielki duch i tęga głowa, jak on tego oszusta nie przejrzy i nie zekpa... ...Niech ręka boska broni, żeby duch tak wielki na obłędzie skończył!"

Chopin był zawsze wielkim wielbicielem talentu i osoby Adama Mickiewicza. Razem z George Sand bywał często na jego wykładach w Collège de France. Widział on w nim jednego z tych, którzy są najwięcej powołani do odegrania wielkiej i przodującej roli w Ojczyźnie. Tym bardziej bolało go więc, gdy widział, że niweczą się jego zamysły. A okres towiańszczyzny był dla Mickiewicza samego również ciężkim okresem. Był to okres pustki duchowej wielkiego poety, pustki trudnej do wypełnienia. Lekarstwem na rozterkę była dla niego częściowo muzyka Fryderyka.

Oto co Chopin pisze o tym do Delfiny Potockiej:

„Znowu Mickiewicza widuję — onegdaj był u mnie.

Zmienił się bardzo, tak sponurzał, że go ani piosenkami naszymi, ani Filonem — jak to dawniej — rozruszać nie mogłem. Przyjdzie i wyjdzie słowa nie przegadawszy. Tyle że wiem po co przychodzi, i zaraz grać siadam, każę wszystkich od drzwi odprawiać, że to niby mam lekcję — bo towarzystwa nie lubi. Ostatnio bardzo długo mu grałem, bojąc się na niego oglądać, a słyszałem, że płacze.

A potem, jak wychodził, sam pomagałem mu się ubrać, bom nie chciał, by go lokaj zapłakanego widział. Mickiewicz za głowę mnie ścisnął najczulej a w czoło mocno pocałował, pierwsze tego wieczoru wymówiwszy słowa:

„Bóg ci zapłać, przeniosłeś mię..." nie dokończył, bo łzy go znowu za gardło ścisnęły i tak pasując się z tym płaczem, wyszedł".

Nie dziwmy się łzom Mickiewicza. Nie były to łzy niemęskie. Życie na emigracji stawało się powoli nie do zniesienia. Głęboki patriotyzm nie pozwalał Mickiewiczowi i Chopinowi zrywać ze środowiskiem polskim, a atmosfera tego środowiska nie odpowiadała im

„Wyrzekanie to nasza wada narodowa. — Pisał kiedyś Chopin do Potockiej — Polak i w raju pretekst znajdzie do wyrzekania. Zawsze wszędzie wszyscy winni, tylko on jeden ma słuszność, on jeden nieszczęśliwa ofiara Żaden naród nie ma tak jenialnego talentu w wyrzekaniu i oskarżaniu bliźnich jak Polacy. Patrzę na piekło emigranckie i coraz mi smutniej. Mickiewicz się ostatnio od nich odsunął. Norwid wyjeżdża, a reszta to się chyba pozagryza"

W ostatnich latach życia Fryderyka miejsce warszawskich przyjaciół: Mochnackiego, Marylskiego i innych zajęła przy jego boku George Sand Chopin spędził z nią razem prawie 10 lat życia. Z bogatych sal dworu „niecierpianego" Ludwika Filipa, gdzie koncertował w styczniu 1838 roku, przeszedł prawie wprost do mieszkania kobiety, która zapoznała go z „Ekonomią polityczną" i z socjalizmem utopijnym W dziełach Pierre Lerroux znajdował Fryderyk dużo pociechy w cierpieniach, wywołanych nieszczęściami Ojczyzny Egzaltowana i sentymentalna w miłości, ale trzeźwa w życiu i pełna energii natura George Sand uczyniła ją gorącą apostołką nowych, rewolucyjnych prądów. Chopin był jej przyjacielem i powiernikiem. Jego nacjonalizujący lekko patriotyzm nabrał pod jej wpływem poczucia międzynarodowej wspólnoty. Chciał on, aby powstał nowy i sprawiedliwy świat, wiedząc, że w tym świecie znajdzie się miejsce i dla jego ojczyzny. Nie był mesjanistą. W przeciwieństwie do Mickiewicza, który w swoim czasie głosił z katedry Collège de France idee wielkiej misji dziejowej ludów słowiańskich, Chopin wierzył razem z George Sand, że tylko prości ludzie wszystkich narodów zbudują szczęście Ludzkości. A miłość do prostych ludzi przywiózł on ze sobą do Francji z Warszawy, z Polski. Za pośrednictwem swojej przyjaciółki poznał wszystkich postępowych ludzi ówczesnej Francji. Do ludzi, z którymi utrzymywał stosunki, zaliczamy tak wybitnych działaczy rewolucyjnych, jak Louis Blanc, Dominique François Arago, Alexandre Auguste Ledru-Rollin. Wszyscy oni weszli w skład Rządu Tymczasowego w roku 1848. W wypadkach rewolucyjnych tego roku Chopin już jednak nie brał udziału. Było to kilka miesięcy przed śmiercią kompozytora, kiedy stan jego zdrowia był bardzo ciężki. Było to poza tym po jego zerwaniu z George Sand, wywołanym nieporozumieniami czysto osobistymi, a zerwanie to zniechęciło Chopina do życia. Wyjechał z Paryża do Londynu, napisawszy stamtąd do Grzymały:

„Ja już się smucić, ani cieszyć nie umiem; wyczułem się zupełnie, tylko wegetuję i czekam, żeby się prędzej wszystko skończyło..." To „wszystko" oznaczało: życie.

Chopin nie brał bezpośredniego udziału w wypadkach roku 1848. Czasem wymknie mu się nawet jakaś ironiczna uwaga na temat ówczesnych wydarzeń. Ale to nie świadczy bynajmniej o jego ideologii.

To, co w życiu Chopina uderza nas przede wszystkim, da się określić słowami: miłość ludu, niechęć do arystokracji i mieszczaństwa, patriotyzm.

To, co nas uderza w Chopinie, jako kompozytorze epoki romantycznej, to jego wielki realizm:

„Czy symfonia ma być tylko dlatego lepsza, że jest wielka?

U Polaków głowa z sercem rzadko chodzą w parze. Jest tylko głowa bez serca, a częściej serce bez głowy, nic na to rady nie dasz.

Aby serce swoje rozpłomienić — Polak własnej logiki i rozsądku za podpałkę używa. Ten upał w sercu często do cna mózgi u Polaków wysusza".

Te gorzkie słowa wymknęły mu się w liście do Delfiny Potockiej, kiedy pisał o opiniach, jakie rodacy wygłaszają o jego sztuce. A sztuka ta przetrwała do naszych dni, nic ze swej wielkości nie utraciwszy. I nawet sam Chopin bliższy jest chyba naszym czasom, jak współczesnej sobie epoce. Jego głęboki humanitaryzm i realizm jest znamieniem naszych czasów.

Wincenty Jędrkiewicz

„Café" Brzezińskiej przy zbiegu ul. Koziej i Krakowskiego Przedmieścia, gdzie Chopin bywał stałym gościem.

Helena Brodowska

Chłopi hrubieszowscy w Staszicowskim Towarzystwie

Stanisław Staszic
Portret wykonany przez Fr. Sobolewskiego w 1826.

STASZICOWSKA MYŚL URZĄDZENIA WŁOŚCIAN

Ustawa konstytucyjna Księstwa Warszawskiego stawiając wszystkich obywateli na równi w obliczu prawa dała Staszicowi możność przywłaszczenia klucza hrubieszowskiego na swoje nazwisko. Klucz liczył osiem wsi i część miasta Hrubieszowa. Zakupione wsie wraz z dobrami dworskimi posłużyły Staszicowi do realizacji jego planów reformatorskich w części znanych tylko z okresu Sejmu Czteroletniego.

Zakupiony klucz posiadłości wiejskich i dworskich liczył 9650 ha. Cały ten obszar został podzielony pomiędzy ludność od dawna mieszkającą i nowoprzybyłych na parcele dworskie. Aktem osobistego nadania czynił Staszic chłopów posiadaczami ziemi na prawach wieczystej dzierżawy. Rozparcelowany obszar dworski sprzyjał zniesieniu pańszczyzny, w miejsce której wprowadzono opłatę w formie czynszu po dwa złote od morgi. Stali mieszkańcy wsi i posiadacze ziemi od dawna chłopskiej niedługi mieli okres owych opłat. Ze śmiercią ofiarodawcy ziemi zostały one zakończone. Obowiązek opłaty czynszowej pozostał jedynie na gruntach dworskich, na których osiedlili się głównie nowi przybysze, zwani „osadnikami".

Akt nadania ziemi chłopom i zniesienie pańszczyzny rozszerzył Staszic własnym programem społecznym wysnutym z teorii społeczno-filozoficznej. Fizjokratyczna myśl urządzenia rolnictwa wiązała się u Staszica z jego socjologiczną teorią społeczeństwa. Wedle Staszica człowiek „przez towarzyszenie się stan natury doskonali". Warunkiem więc doskonalenia rolnictwa musiało być tworzenie organizacji społecznej. W zorganizowanej społeczności chłopskiej widział Staszic siłę gospodarczego postępu, usamodzielnienia ekonomicznego i społecznego wsi, zrywającej z ustrojem pańszczyźnianym oraz całym systemem ówczesnego życia ludności wiejskiej.

Zadaniom miała sprostać forma organizacji wypracowana z własnej teorii społeczeństwa i doświadczeń wyniesionych z urządzania wsi przez reformatorów XVIII w. Staszic zaznaczył się bardzo swoistą teorią społeczeństwa jako jednej moralnej istności, której członkami są obywatele. St. Czarnowski dopatrywał się źródeł tej teorii w bezpośrednim odczuciu moralnego charakteru jedności narodu. Społeczeństwo będące jednością moralną posiada własny byt, własne prawa, własne formy działania. Społeczeństwo to dalekie jest od wszelkiej doskonałości i nie stanowi formy skończonej, podlega ono prawom rozwoju, który powoduje zmiany w stosunkach społecznych.

TOWARZYSTWO I JEGO WŁASNOŚĆ

Zgodnie z powyższym społeczności swoich wsi pragnął Staszic nadać charakter jednej wszechstronnej organizacji, którą nazwał Towarzystwem Rolniczym. Towarzystwo we wsiach Staszica zostało założone w roku nadania chłopom ziemi (1816) jako zaród nowego życia organizacyjnego wsi usamodzielniającej się. Organizację Towarzystwa oparto o chłopskie gospodarstwo rolne. Obok indywidualnych gospodarstw chłopskich utrzymana została własność wspólna Towarzystwa. Własność wspólną stanowiły propinacje, karczmy, młyn, stawy wydzierżawiane na okres czasowy, z których dochód szedł do kasy Towarzystwa. Wspólnym był las, którego nie dzielono między wsie ani jej mieszkańców, lecz oddano powołanemu nadzorowi w ręce, celem roztoczenia opieki nad majątkiem leśnym i utrzymywania go w odpowiedniej kulturze. Własność Towarzystwa stanowiły też ziemie przydzielone dla użytkowania funkcjonariuszy, oraz dla zakładania i prowadzenia społecznych urządzeń wiejskich. W posiadaniu chłopów było 8.825 morgów, oficjaliści i inni dzierżawcy użytkowali 603 morgi, nauczyciele 32 morgi.

Do urządzeń społecznych i gospodarczych należało 376 morgów. Drzewo z lasu szło na budowę i remonty budynków stanowiących własność Towarzystwa, oraz na pomoc w odbudowie zniszczonych przez ogień zabudowań chłopskich. Las był funduszem ubezpieczeniowym dla stowarzyszonych.

Fundusz kasy Towarzystwa pobierany z dzierżaw i opłat czynszowych stanowił kapitał dla prowadzenia społecznych urządzeń wiejskich, na pomoc przy budowie domów murowanych, na zakładanie fabryk oraz na pożyczki dla potrzebujących członków.

W ramach Towarzystwa utrzymywano urządzenia społeczne typu gospodarczego, pomocy społecznej i kształcenia ogólnego. Wszystkie one służyły pomocy stowarzyszonych. W magazynach gromadzkich zsypywano jesienią zboże według miary morgów, obracając je na pomoc dla pogorzelców i na wypadek zniszczeń od gradu, suszy letniej itp. Z magazynów brano również zboże na zasiew pól dla nowych nauczycieli. Dzięki urządzeniom pomocy społecznej roztoczono w Towarzystwie Hrubieszowskim szeroką akcję opieki nad starcami, kalekami, inwalidami wojennymi i nad dziećmi sierotami. Z funduszów kasy Towarzystwa utrzymywany był doktór, który w każdej potrzebie obowiązany był nieść pomoc chorym. Obok mieszkania doktora zbudowało Towarzystwo szpital dla chorych i urządziło gabinet lekarski wraz z pomocniczą biblioteką. Ubodzy chorzy otrzymywali z Towarzystwa lekarstwa, które nabywano w aptece hrubieszowskiej.

Staraniem Towarzystwa zbudowano pięć szkół wiejskich, skąd najzdolniejsze dzieci mogły iść do szkoły wyższego stopnia w Hrubieszowie, którą w znacznym stopniu również subwencjonowało Towarzystwo. Zdolni, a niezamożni i pragnący kończyć studia wyższe mieli w Towarzystwie zapewniony fundusz stypendialny.

Wszystkie urządzenia społeczne i majątek wspólny pozostawały pod jednym kierownictwem i zarządem, stanowiącym władze Towarzystwa. Na czele stał prezes mianowany przez Staszica i obdarzony prawem dziedzicznej spuścizny na syna najstarszego. Zastępcą prezesa był burmistrz miasta Hrubieszowa, który z radnym miejskim stał na straży interesów ludności miejskiej, należącej do Towarzystwa. Prezes i jego zastępca wchodzili w skład Rady Gospodarczej stanowiącej zbiorową władzę Towarzystwa. Do Rady wchodziło 6-ciu przedstawicieli gromad wioskowych pochodzących z wyborów delegatów wiejskich. Radni obejmowali wszystkie sprawy gospodarcze Towarzystwa, sprawy życia stowarzyszonych i mieli prawo kontroli nad działalnością prezesa oraz funkcjonariuszy. Okres kadencji radnego trwał dwa lata. Przy zmianie radnych przestrzegano zasady, aby ustępowała 1/3 członków w danym roku, inni pozostawali dla utrzymania ciągłości pracy Rady. Przy boku radnych zjawiała się często tzw. „Starszyzna Wioskowa". Wchodzili do niej najstateczniejsi ojcowie, cieszący się zaufaniem członków. Rada Starszyzny była raczej charakteru doradczego, podczas gdy radni mieli prawo podejmowania uchwał i wykonywania prac, mieli też prawo egzekutywy w stosunku do wyłamujących się spod ich zarządzeń i przepisów ustawy Towarzystwa. Organizacja Towarzystwa oparta była o przepisy ustawy własnej, zatwierdzonej w 1822 r. przez władze państwa.

Towarzystwo Rolnicze stanowiło jednocześnie Gminę wiejską, co wypływało najściślej z jego teorii społeczeństwa, jako jednej całości. Wójtem gminy był prezes, a Rada Gospodarcza była Radą Gminną. Gmina wypełniała wszystkie obowiązki wynikające z ogólnych przepisów administracyjnych państwa. Członkowie Towarzystwa byli jednocześnie członkami gminy, niekiedy wypełniali pojedynczo obowiązki względem państwa, częściej odpowiadali za wypełnienie spraw krajowych, jako jedna zbiorowość społeczna. W gminie Towarzystwa Hrubieszowskiego stosowana była zasada odpowiedzialności zbiorowej. W oparciu o Towarzystwo Rolnicze powstała swoista gmina wiejska, posiadająca samorząd, stałe fundusze i daleko szersze formy działalności społecznej i gospodarczej od gmin powstałych z przepisów krajowych, co miało szczególne znaczenie dla kształtowania postawy grupy chłopów członków Towarzystwa.

CHŁOPI TOWARZYSTWA ROLNICZEGO HRUBIESZOWSKIEGO

Cała grupa chłopów, będąc najliczniejszą w Towarzystwie, nie zajęła w początkowym okresie stanowiska czynnika świadomie kształtującego stosunki i oddziałującego na urządzenie Towarzystwa. Byli oni raczej przyjmującymi dobrodziejstwa wynikające z nowej organizacji i posłusznie spełniającymi zalecenia Rady. Sprawa uległa zmianie już po latach 30.

W latach 1860—1874 grupa chłopów wyróżniała się już własną postawą światłą, świadomą swoich spraw i instytucji. W pracach Rady Gospodarczej chłopi stawali się coraz bardziej czynni i odpowiedzialni za zadania im przypadające. Często przejawiali własną inicjatywę, szczególnie w sprawach gospodarczych. Wyrobienie społeczne i gospodarcze chłopów radnych pozwoliło Radzie Gospodarczej zmienić i rozszerzyć formę pracy. Nie zmniejszając ilości zebrań i narad ogólnych, na których coraz częściej notowano głosy i uwagi chłopów, rada powoływała komisje spośród siebie dla bliższego i wnikliwszego zaznajomienia się ze sprawami wnoszonymi na plenum obrad. W komisjach i delegacjach występują chłopi jako rzeczoznawcy przy szacowaniu ziemi, licytacji dłużników, w sprawie zamiany odpadków leśnych, czy też „dla gruntownego rozpatrzenia prośby pogorzelców", dla rozstrzygnięcia spraw spornych o łąki, o wypasanie bydła na terenach leśnych lub też dla zbadania, jak dalece dotknął kogoś z gospodarzy nieurodzaj, jakie meble i sprzęty zakupić dla urządzenia lokali wspólnej użyteczności, z kogo utworzyć radę familijną dla opieki nad osieroconym dzieckiem itp.

Chłopi z poszczególnych gromad powoływani byli coraz częściej do pomocy radnym np.: do oszacowania strat pogorzelców w Bohorodycy w 1861 r. powołano aż 16 chłopów z sąsiednich wsi. Dla spraw szczególnie trudnych i drażliwych powoływano do pomocy radnym „starszyznę wiejską". Autorytet starszych zapewniał utrzymanie zasady sprawiedliwości przy rozdziale drzewa z poręb leśnych. Zapewniał również zachowanie umiaru obiektywnej oceny postępowania tych, którym zwracano uwagę, dawano ostrzeżenia lub też skazywano na wydalenie z Towarzystwa. Nagany wobec wyłamujących się spod przepisów ustawy i niewywiązujących się z obowiązków kierowano często z zastrzeżeniem wydalenia z Towarzystwa. Usuwano zaś jedynie za przestępstwa sądownie karane i za opuszczenie się w prowadzeniu gospodarki. Przypadki takie rzadko notowano w Towarzystwie.

Spośród radnych wyróżnił się Michał Kieun, który choć nie zawsze rozważne wnioski i uwagi zgłaszał, miał jednak postawę własną i odważną. Nie wahał się zgłaszać zastrzeżeń w sprawach, które były już w trybie uchwał zbiorowych, gdy sam miał odmienne zdanie. Żądał on strącenia z pensji prezesa 180 rb tytułem wpłaty na uposażenie wójta, gdy ta z odłączeniem gminy od Towarzystwa została mu odjęta. W latach dużych trudności finansowych Towarzystwa na skutek zniesienia czynszów z miasta i zmniejszenia dochodów z ośrodków przemysłowych Kieun przemawiał za zmniejszeniem ilości funkcjonariuszy i pracowników zatrudnionych w Towarzystwie.

Własne zdanie, nie zawsze zgodne z opinią większości śmiało wypowiadali Mazur i Jakub Fedoniuk z Jarosławca. Oni zauważyli współzależność płacy funkcjonariuszy Towarzystwa od wysokości opłat czynszu, od ceny zboża, przegłosowali więc obniżenie pensji. Stojąc na straży wydatków Towarzystwa wraz z M. Kieunem spowodowali obniżenie diety dla prezesa na czas jego wyjazdu do Moskwy. Politykę oszczędności przez obniżenie płac funkcjonariuszom popierał też Grzegorz Laskowski z Jarosławca, wnosząc parokrotnie zastrzeżenia pod adresem służby leśnej. Znamienne jest w postawie chłopów to, że interesowali się głównie sprawami wydatków Towarzystwa, w ograniczeniu ich widzieli główny sposób zagwarantowania podstaw rozwojowych instytucji. Innych sposobów zaradzenia trudnościom gospodarczym nie widzieli. Znali dopiero przyczyny pierwsze, dość zewnętrzne, łatwo dostrzegalne, głębszych nie byli w stanie jeszcze zauważyć. Z właściwą sobie chłopską postawą debatowali nad każdą pozycją wydatkowaną, zaznaczając tym, że o dobro instytucji występują jak o własne gospodarstwo. Na pomoc swoim zniszczonym od ognia, czy też cierpiącym w chorobie nie szczędzili. Bez sprzeciwu zobowiązywali siebie i wszystkich członków Towarzystwa do składki dla 16 rodzin, którym spaliły się gospodarstwa, a podczas epidemii cholery donajmowali ludzi do pomocy swojemu doktorowi nie bacząc na to, że przekroczyli ustalony kontyngent na lekarstwa.

Wiele zrozumienia i znajomości zasad walki z epidemią wykazali stowarzyszeni choćby w tym, że odnajmowali izby specjalnie dla izolacji chorych. Zalecenia Rady Opiekuńczej nie szły tak daleko jak akcja w Towarzystwie, gdzie pouczano tylko o sposobach walki z chorobą w domu.

Drugą sprawą, którą z całą skrupulatnością chłopską rozważono, to były zamiany gruntów, łąk i rozdziału drzewa z poręb leśnych. Często zaznaczały się w tych sprawach odrębne stanowiska i pojedyncze głosy przeciwne powziętym uchwałom.

Dużą znajomość stosunków gospodarczych i własne zdanie w zakresie dysponowania dobrami gospodarczymi wnosił na posiedzenia Rady Jan Leszczuk z Dziekanowa. Ze spokojem wypowiadane przez Leszczuka uwagi krytycznej, choćby na temat dzierżawienia propinacji, przekonywały słuchających. Radny Leszczuk miał specjalne zaufanie u stowarzyszonych, często był wysuwany do różnych komisji i delegacji, był też wybrany przez zgromadzenie gminne na wójta w 1871 r. Uznanie i szacunek wyrażano wobec niego przez dopuszczenie syna jego do stypendium przed innymi kandydatami. Ojciec jako zainteresowany usunął się na czas głosowania, gdy była mowa o synu.

Leszczuk miał zaufanie nie tylko u swoich, lecz i u władz reformujących gminę, zyskał opinię wójta „godnego naśladowania".

Czynną postawę u stowarzyszonych wyrabiał system pracy Rady Gospodarczej, oparty o zasadę kolegialną. Coraz częściej powoływano członków gromad do opracowywania spraw celem przedłożenia na ogólne posiedzenie Rady.

Regulamin obradowania Rady wymagał obecności wszystkich dla powzięcia prawomocnych uchwał. Nie zawsze radni stawiali się w pełnym komplecie na posiedzenia, toteż w r. 1850 powzięto uchwałę wprowadzenia zastępców.

Doświadczenia pouczyły, ażeby gromadę całą zobowiązywać do uczestniczenia w obradach Rady. W związku z powyższym uchwalono wniosek dopilnowania radnych, aby nie opuszczali zebrań, a jeśli ktoś w danym czasie z poważnych powodów musiał zebranie opuścić, gromada była zobowiązana do wysłania delegata w zastępstwie radnego.

Wynik był taki, że zebrań Rady nie odkładano, a coraz więcej chłopów było zainteresowanych sprawami Towarzystwa.

U wielu radnych zaznaczał się specjalnie ścisły związek z gromadą wiejską, którą reprezentowali. Postawa ta tak dalece wiązała ich, że choć sami już byli przekonani na posiedzeniu Rady o słuszności zdań przeciwników, uchylali się od wyrażania zgody, gdy to nie odpowiadało życzeniom gromady. Wola gromady zobowiązywała radnych do tego stopnia, że uchylali się od podpisania protokółu z obawy przed „nieprzyjemnościami" od współstowarzyszonych.

Zdarzały się i takie przypadki, że radny podpisywał protokół z zastrzeżeniem, że „...wbrew jego stanowisku...", jak to miało miejsce z radnym Laskowskim. Usamodzielnienie i odwagę zyskiwali chłopi przy obronie spraw im zleconych.

Chłopi Towarzystwa zyskali przede wszystkim postawę rozważnie gospodarujących i zarządzających dobrem wspólnym. W prowadzeniu urządzeń społecznych nauczyli się współgospodarowania na zasadach pomocy wzajemnej. Umieli utrzymać zasadę sprawiedliwego rozdziału dochodu społecznego pomiędzy „bardzo pilnie i mniej pilnie potrzebujących". Obok wyrobienia gospodarczego, wyróżniali się także na tle gmin powiatu hrubieszowskiego samodzielnym prowadzeniem placówek pomocy społecznej.

Rada Gospodarcza oraz pracownicy „Towarzystwa Rolniczego ratowania się wspólnie w nieszczęściu", Fundacja Staszica w Hrubieszowie. Rok 1925.

Jakub Litwin

Uwagi o upowszechnieniu kultury

Zastanawiałem się wielokrotnie nad zagadnieniem tradycji kulturalnej, a ściślej: funkcji społecznej tradycji kulturalnej. Jest to u nas problem wyjątkowo żywy i aktualny. Zasadniczy trzon naszych akcji kulturalnych — obraca się w istocie rzeczy wokół sprawy: jak przekazać możliwie najszerszy zakres kultury narodowej masom ludowym, które były dotąd od kultury niemalże całkowicie odsunięte, lub co najwyżej otrzymywały tylko okruchy, i to okruchy zupełnie pośledniej jakości. Umasowienie i rzeczywiste unarodowienie kultury — jest znamieniem nowej struktury społecznej i nowego układu klasowego Polski. Nacjonalizacja kultury jest niewątpliwie rewolucją również ważną i niezbędną jak nacjonalizacja przemysłu. Umożliwia bowiem nie tylko wydźwignięcie mas ludowych z zacofania, ciemnoty i zabobonów — lecz jest równocześnie niezbędnym warunkiem wytworzenia się narodu nowego, demokratyczno-ludowego, socjalistycznego typu. Proletariat — mówi gdzieś Lenin — nie mógłby dokonać rewolucji, jeżeliby się nie stał narodowy — oczywiście w innym zupełnie znaczeniu niż narodową była burżuazja. To jest oczywiste i zapewne nikogo nie trzeba przekonywać o wadze nacjonalizacji kultury. Wydaje mi się jednak, że mówiąc o przekazywaniu tradycji kulturalnej, pomija się drugi człon zagadnienia nacjonalizacji kultury.

Tradycja — to jest bowiem przeszłość; tradycja kulturalna — to jest wytwór określonych warunków społecznych, **które były.** Ale tradycja przeniesiona w inną, późniejszą epokę traci zwykle, gubi w wędrówce poprzez epoki, swój koloryt historyczny, odrywa się od otoczenia społecznego, które ją zrodziło. Jest to szczególnie charakterystyczne dla literatury i sztuki w ogóle. W literaturze widzi się nie tylko obraz określonych stosunków społecznych, nie tylko typy ludzkie tkwiące w realnych, konkretnych epokach społecznych, ale równocześnie coś, może nie tyle pozahistorycznego, ile bezhistorycznego. Tym bardziej, że umiejętność historycznego widzenia świata jest produktem stosunkowo niedawnej przeszłości. Jeszcze przecież mieszczaństwo widziało w historii społecznej przejaw niezmiennej natury ludzkiej, patrzyło na historię poprzez szkła metafizyki, psychologii, biologii itd. Antymetafizyczne, dialektyczne widzenie historii to dopiero wytwór rozwiniętego proletariatu. I na dobrą sprawę, zdaje mi się, że dziś jeszcze tylko proletariat, albo ściślej mówiąc, teoretycy proletariatu umieją patrzeć na historię społeczną historycznie, bez naleciałości idealistycznych i metafizycznych. Problem historycznego widzenia to zarazem problem klasowego widzenia rzeczywistości społecznej.

Drobnomieszczuch czytający w 1949 roku „Lalkę" zobaczy w Wokulskim i Rzeckim postaci wciąż żywe. Ich tragedie będą jego tragediami, ich marzenia, wciąż jeszcze jego marzeniami. „Lalka" będzie dla niego lustrem bieżącej rzeczywistości, będzie zapewne bardziej rzeczywistą od rzeczywistości istniejącej. Dajcie mu do przeczytania „Boską Komedię" — a zobaczy w dzisiejszej epoce piekło, czyściec i raj— bez przenośni, dosłownie: piekło, czyściec i raj będą dla niego zapewne bardziej realne niż były dla Dantego. Tego rodzaju widzenie wynika ze społecznej natury tej klasy, albo ściślej — dwóch natur, którymi ją obdarzyła historia: jednej, która ciągnie drobnomieszczanina do walki z wielkim kapitalizmem, drugiej, która złudzeniami i urojeniami wiąże go z kapitalizmem. „Drobnomieszczanin — pisze Marks — ubóstwia sprzeczność, gdyż stanowi ona podstawę jego bytu. Jest on tylko wprawioną w działanie sprzecznością społeczną". („Nędza filozofii" str. 43). Ze sprzeczności wymyka się raczej w przeszłość — niż wybiega w przyszłość. Tradycja jest dlań raczej nieruchomym ideałem, niż bazą nowego, postępowego działania.

A jak reaguje na tradycję chłopstwo? Stanowi ono, niewątpliwie bazę rewolucji społecznej, nie wolno jednak zapominać, że jest tylko bazą, współtwórcą — ale nie przywódcą rewolucji. „Mamy je (chłopstwo) pod bokiem, przebywamy z nim razem, wespół z nim budujemy nowe życie, dobrze czy źle, ale razem z nim. Jest to sojusznik, jak sami wiecie, nie bardzo mocny, chłopstwo nie jest tak pewnym sojusznikiem jak proletariat kapitalistycznie rozwiniętych krajów. Niemniej jednak (wsjo że) jest sojusznikiem, i z wszystkich obecnych sojuszników jest jedynym, który może nam teraz okazać pomoc, otrzymując w zamian naszą pomoc". (Stalin, Dzieła, t. VII, str. 28).

Z sytuacji społecznej wynika stosunek chłopstwa do tradycji. Chłopi ze znaczną trudnością przełamują zakrzepłość tradycji. „Siła tradycji wiejskiej po dziś dzień stanowi... poważny czynnik... — pisze prof. Chałasiński w „Społeczeństwie i wychowaniu". — Dążenie do wiedzy budziło się u dziecka chłopskiego pod wpływem wzorów pozawiejskich..." (str. 233). Wchodzenie w kulturę narodową dokonywało się na wsi — drogą oderwania się od społeczności wiejskiej — jak ciekawie wykazuje prof. Chałasiński. Na przykładzie pamiętnika Połcia pokazałem kiedyś („Wieś Nr 30/31, 48 r.) specyficzną, drobnomieszczańską drogę awansu społecznego chłopa — oczywiście za czasów kapitalizmu. Dziś sytuacja jest zmieniona. Awans społeczny chołpstwa dokonuje się pod kierownictwem proletariatu. Nie jest to już odrywanie się jednostek awansujących od wsi — ale awans zbiorowy całej wsi biedniackiej i średniorolnej.

Ale istotne jest w tym procesie, że dokonuje się on pod kierownictwem i przywództwem proletariatu.

Jak więc ustosunkuje się proletariat do tradycji kulturalnej? Z proletariatem sprawa przedstawia się inaczej niż z poprzednimi klasami. Proletariat jest bowiem jedyną klasą, w pełni, całkowicie rewolucyjną. Może on osiągnąć pełny rozwój historyczny tylko poprzez otwartą walkę klasową i rewolucję. Nie może on zaś dokonać rewolucji i socjalistycznych przeobrażeń społecznych nie rewolucjonizując kultury.

W tym miejscu rozpoczyna się drugi człon zagadnienia tradycji kulturalnej. W swej walce o socjalizm proletariat nie może się poddawać wpływom innych klas — nawet sojuszników. Wręcz przeciwnie musi on je rewolucjonizować, porywać, wskazywać nowe, wyższe cele walki społecznej. Mobilizowanie sojuszników klasy robotniczej jest jednym z podstawowych warunków realizacji socjalizmu.

I trzeba przyznać, że proletariat zadanie to wykonuje co najmniej zadawalająco. Wytyczanie planów gospodarczych, rozwój współzawodnictwa pracy, akcje polityczne i gospodarcze prowadzone przez robotników — stanowią wystarczający dowód mobilizacyjnej energii proletariatu. W istocie rzeczy proletariat nie może przejąć i nie przejmuje kultury biernie, statycznie. Przejęcie kultury oznacza dla proletariatu tylko fundament dalszej twórczości. Wejście w tradycję kulturalną narodu oznacza dla niego nie inteligenckie delektowanie się przeszłością, ale uzyskanie możliwości dalszego kontynuowania i rozwijania kultury narodowej. Oczywiste jest zaś, że rozwijać można kulturę tylko rewolucyjnie.

Wydaje mi się jednak (jeśli jestem w błędzie — to napewno nie ze złej woli), że jedno wiązadło tej szerokiej akcji mobilizacyjnej — jest nieco słabsze. Mianowicie akcja kulturalna, przede wszystkim zaś literacka. Zrobiono w tej kwestii wiele, bardzo wiele i nie ma wątpliwości, że zrobi się jeszcze więcej; ale coś pominięto. **Zapomniano, że nie można rozpowszechniać tylko tradycji kulturalnej. Należy dawać też nową, bieżącą, aktualną kulturę.** Nową nie tylko w tym sensie, że stworzoną dzisiaj. Ale nową jakościowo. Chodzi tu o dość prostą sprawę. O wydobycie na światło dzienne rewolucyjnej tradycji klasy robotniczej i chłopstwa — tradycji, którą pomijała twórczość mieszczańska i szlachecka. O sięgnięcie do aktualnej problematyki pracy robotnika czy chłopa. O wejście w żywy nurt życia narodowego. A ten żywy nurt to nie tylko dzień dzisiejszy. To jest także przeszłość, która zrodziła dzień dzisiejszy, przeszłość rewolucyjna tych klas, które stanowią podstawowy czynnik dzisiejszych czasów.

Przekazywanie tradycji musi być nierozłącznie związane z przekazywaniem żywej twórczości. Ale to jest już zagadnienie planowania twórczości: wydaje mi się, że tę stronę zagadnienia pominięto w akcjach kulturalnych, lub ściślej mówiąc, nie nadano mu takich rozmiarów, jakie powinno było przybrać.

Przekazywanie tradycji kulturalnej musi być nierozłącznie związane ze sprawą tworzenia nowej kultury. W przeciwnym razie, może zawsze grozić niebezpieczeństwo albo archiwizacji kultury, albo eklektyzmu. Kultura aleksandryjska była wyrazem wyczerpania się źródeł twórczych starożytnej Grecji. To była wielka kultura — ale bez rewolucji. Naszym czasom właściwe jest rewolucjonizowanie kultury. Aleksandrynizm byłby u nas paradoksem i anachronizmem — więcej — byłby czynnikiem hamującym rozwój społeczny. Wejść w socjalizm nie można tylko z tradycyjną kulturą. I tego nie wolno pomijać. Nie należy też pomijać, jakie znaczenie ma dla różnych klas tradycja kulturalna.

Dyskusja o poezji

Andrzej Braun

Fikcyjne przeciwsławienia

Stan krytyki na odcinku poezji jest u nas groźny. Nie zdołała ona sobie wypracować — wychodząc z jasnych założeń światopoglądowych — jakichś jednolitych i sprawdzalnych kryteriów. Krytycy i redaktorzy, choć w większości marksiści, różnią się w poglądach w poszczególnych wypadkach krańcowo. Toteż nastąpił u nich spóźniony renesans różnych stylów poetyckich, należących zasadniczo do lat dużo wcześniejszych. Pomieszano chronologię. Pod wpływem Przybosia odżyły awangardy w najmłodszej poezji. Dopiero po wojnie poznaliśmy naprawdę Majakowskiego. Zjawiska poetyckie z różnych epok i różnych krajów pojawiły się równocześnie na szpaltach naszych czasopism. W poglądach na poezję i w jej ocenach zapanował całkowity chaos, zupełna dowolność. Krytyka jest albo impresyjna, bełkotliwa, „wąchająca kwiatki", albo stronnicza i klikarska. W obu wypadkach ogólnikowa. Ocenia się poezję tylko w imię „smaku". „To dobry poeta" — słyszy się jeszcze dziś w kołach literackich potoczny sąd, — „to marny poeta", „to grafoman".

Sens ideologiczny dzieła nikogo nie obchodzi, nikt nie próbuje nawet przełożyć środków formalnych, techniki, stylu autora na język ideologii, choć to jest możliwe i chociaż tylko w ten sposób można klasowo oceniać, rozpatrywać, wyjaśniać i klasyfikować poezję.

Gdybyśmy, jako marksiści, rozpatrywali każdy utwór poetycki z punktu widzenia historycznego, według jego rodowodu społecznego i formalnego, jego wymowy ideologicznej, ocenianej z wyraźnej pozycji klasowej, łatwo byłoby nawet nieprzygotowanemu czytelnikowi ustalić hierarchię, chronologię i ciągłość zjawisk poetyckich ostatnich kilkunastu lat, wyśledzić wzajemne związki i wpływy stylów oraz ich wymowę polityczną. Łatwo byłoby w całym gąszczu i bogactwie cech indywidualnych wyśledzić typowe cechy mieszczańskie w formie (wyrażające zewnętrznie zahamowania ideologiczne autora i zamącenia jego światopoglądu artystycznego), przełamywanie tych cech, próby wyszukiwania nowych środków wyrazu dla nowych ideologicznie treści, nie mogących się pomieścić w świecie pojęć mieszczańskich (jak: partia, współzawodnictwo pracy), a więc nie do wyrażenia techniką poezji dotychczasowej, poezji mieszczańskiej. Wówczas to czytelnik mógłby się obronić pozornym nowinkom formalistycznym kryjącym pod urokiem chwytów ideologię wsteczną. Wtedy jego rozumienie poezji współczesnej uzyskałoby ciągłość, a jego sąd podstawy. I wtedy nie zdarzyłoby się to, co zdarzyło się u nas jeszcze nie tak dawno. Czesław Miłosz wydrukował „Traktat moralny", jeden z najbardziej nihilistycznych, szkodliwych i wstecznych zarówno ideologicznie jak i formalnie wierszy. Recenzent prasowy „Kuźnicy" pokwitował to notatką, że: „Miłosz ogłosił piękny poemat", a krytycy marksistowscy nabrali wody w usta. Zaniepokoiło to nawet Iwaszkiewicza.

Segregować dotychczasową poezję można tylko na podstawie jej związków z poznanymi i zakwalifikawanymi historycznie kierunkami poetyckimi — w przeciwnym razie postulaty pod adresem poezji nowej przybierają formę zupełnie osobistych, na niczym nie opartych zachcianek.

Wydaje mi się, że rozpatrując szczegółowo twórczość jakiegoś poety, można nie tylko obnażyć „treściowo" jego postawę ideologiczną, ale także, pamiętając o jedności treści i formy prześledzić na zupełnie formalnych cechach utworu (jak: strofka, rytmika, rym, rodzaj metafory, rekwizyty poetyckie, realia, typ uczciwości, rodzaje „nastrojów") przeniknięcie tej postawy ideologicznej w styl, kształt formalny. Mówiąc po prostu: ideologię można wykryć w całym wierszu, i w jego warstwie treściowej, i formalnej. Wiadomo przecież, że treść ideologiczna kształtuje język poetycki, styl. Z drugiej strony pewne style poetyckie przeszłości zostały już wyjaśnione socjologicznie i historycznie, zostały ocenione z pozycji ideologicznych proletariatu. Wiemy, co to był futuryzm, awangarda, surrealizm etc., znamy ich cechy formalne, genezę społeczną tych cech, znamy ich rolę ideologiczną na mapie klasowej wtedy i obecnie.

Żaden poeta nie tworzy całkowicie samoistnie. Każdy korzysta z ogromnego dorobku tradycji — nie tylko pisze, ale nawet żyje i czuje w rozmaitych, niezupełnie zamarłych, konwencjach. A więc zasadniczą sprawą jest proces przełamywania przez indywidualność poety i potrzeby czasu przyjętych za punkt wyjścia, dotychczasowych, historycznie zakwalifikowanych poetyk. Czasem nawet własnych poetyk dotychczas używanych przez pisarza, który rozwijał się w innej sytuacji społecznej.

Najbardziej jaskrawym nieporozumieniem i przykładem naciągania faktów był artykuł W. Wirpszy w nr 51—52 „Odrodzenia". Autor przeprowadza w nim całkowicie dowolny (w zależności od faktu drukowania czy nie drukowania w „Kuźnicy") podział na „młodych" i „starych", a wśród tych ostatnich na jakąś „grupę warszawską" i „szkołę Jastruna". „Grupę warszawską" ma charakteryzować inne „włamywanie zdania w wiersz", czym poeci ci „bronią się wszelkimi siłami przed epigonizmem". Autor zapomina o tym, że pasywna obrona „wszelkimi siłami" przed epigonizmem, to jeszcze bardzo mało. Chodzi o to: przed epigonizmem w stosunku do kogo i jakimi środkami się broni, no i wreszcie czy się tylko broni, czy tworzy coś rzeczywiście nowego, wynikającego z potrzeby sytuacji. Nie stanowi żadnej zdobyczy wypowiadanie swych poglądów nie **„pod figurą".** Dekalog swoich poglądów politycznych, wypowiedziany tylko jako dekalog poglądów — przez to samo nie jest jeszcze poezją.

Gdyby trudność w powstawaniu poezji politycznej polegała nie na znalezieniu dla niej właściwych metafor, a na pozbawieniu jej wszelkich, obawiam się, że nie byłaby żadną trudnością. Wirpsza zupełnie dowolnie zalicza pewnych poetów do głównego nurtu rozwojowego, osiągającego „wielki realizm", a innych do pobocznego, grzęznącego na mieliźnie „naturalizmu". Nie wiadomo, jakim cudem tego „naturalizmu" nauczyli się od „pseudoklasyków". Wystarczy przyjrzeć się utworom młodych, ażeby zobaczyć, że różnice i podobieństwa przebiegają zupełnie inaczej. Nie wiem, jak w świetle poetyki Bratnego wyglądałaby poezja Kubiaka, a przecież Wirpsza pakuje ich do jednego worka. Nie wiem także, gdzie w wierszach Radka znaleźć można „naturalizm". Nie wiem, co to jest w poezji „wielki realizm" i jeżeli reprezentować ma go „Rzecz o trasie W—Z" Kubiaka, to chyba tylko ze względu na rozmiar utworu. Nie wiem, czym jest „naturalizm", a przyjmując definicję zamieszczoną kiedyś przez Wirpszę w „Pokoleniu" *), należałoby uważać go u wielu poetów za rodzaj rezygnacji z wszelkiej poetyki, proste odwołanie się do tematu, przy braku świadomej konstrukcji wiersza.

Nie mam zamiaru pomniejszać osiągnięć młodej poezji. Nie twierdzę, że między młodymi nie ma przedziałów i różnic. Są, na szczęście, i to bardzo zasadnicze. Nie twierdzę również że tych różnic formalnych nie da się przełożyć na język polityczny, wytłumaczyć je ideologicznymi przyczynami. Można, nawet należy to zrobić. Nie załgujmy się jednak w żywe oczy dla tych czy innych, ubocznych względów — pokrewieństwa ideologiczne, czy formalne i takież różnice przebiegają całkowicie niezależnie od podziału: szkoła „Kuźnicy" — grupa warszawska, przebiegają wewnątrz, nieraz wewnątrz dotychczasowej twórczości jednego poety, nieraz wewnątrz jednego jego omu.

Czy na tym polega różnica między poetami starszego pokolenia a młodymi, że starzy są epigonami, a młodzi nie? Przeciwnie — młodzi poeci są jeszcze większymi epigonami, bo choatycznymi i bez wyboru. Bez dialektycznego wyczucia dystansu, bez zrozumienia specyficznych źródeł powstawania takiej czy innej poezji. Przypatrzmy się większości młodych, jaka tam plątanina stylów, zaczerpniętych z różnych krajów, epok, klas. Czy to treść polityczna ich wierszy narzuciła im taką formę?

Przyjrzyjmy się poezji Różewicza, najbardziej jednolitego, świadomego i ukształconego. Można się zachwycać proletariackim „no" w jego wierszach, ale nie można zbyt pochopnie — jak to zrobił Bratny w swym artykule („Chronologie poetyckie") — dowodzić, że

(Ciąg dalszy na str. 9)

*) „Naturalizm w poezji występuje wszędzie tam, gdzie rzeczywistość nie zostaje pod ręką artysty formalnie przeorganizowana. Jeśli figuracja poetycka — nie mówię tu już o naiwnym, naturalistycznym opisie — służy tylko do „uplastycznienia" opisywanego przedmiotu, bez żadnej chęci narzucenia jego kształtom zmian emocjonalnie uzasadnionych, spotkamy się z naturalizmem. Naturalizm jest postawą artystycznie bierną. Jest wsteczny". („Pokolenie" nr 3 (9) 1947 r.).

Jerzy Miller

W PODRÓŻY

Ilustr. S. Cieloch

I

Chwilami zrywał się deszcz ze śniegiem. Jeszcze można było spodziewać się nawrotu zimy. Przez rozsunięte drzwi towarowego wagonu widać było pejzaż ubogiej ziemi poplamiony gdzieniegdzie tającym śniegiem. Cały przód pociągu załadowany był ciężkimi działami okrytymi brezentowymi plandekami. Kilkanaście ciężarowych samochodów uzupełniało ładunek. Ostatni wagon zajęty był na pozycję zenitowego działa. Jechałem dziewiątym z rzędu pociągiem w kierunku na Poznań. Do żadnego z poprzednich nie można było się dostać. W drodze wyjątku udawało się to niekiedy kobietom, mniej ze względów wojskowych podejrzanym. Wszelki przewóz cywilów był surowo wzroniony. Pas przyfrontowy obejmował linię kolejową. Jechały właśnie, jak już zdążyłem się z rozmów zorientować, doborowe baterie, którejś z leningradzkich dywizji.

Sztuką było wskoczyć niespostrzeżenie, gdyż na stacji kolejarze z SOKu i żandarmi wojskowi odpędzali amatorów jazdy na zachód. Tymczasem w poczekalniach i na przejazdach, w pobliżu semaforów włóczyły się tłumy ludzi zdecydowanych na wszystko, śpieszących po latach tułaczki wrócić do swoich wsi i miasteczek. Na ogół większość z czekających była płci męskiej. Tłum czekających nie był podobny do żadnego z tłumów oglądanych w czasie wojny. Przy dużej dozie nagromadzonej w nim złości, przez jej warstwę wyczuwałem znaczne ilości szczęścia. Dowiązywano sobie do klap płaszczy dwukolorowe chorągiewki. Gromadzono się podług regionów zamieszkania. Poznaniacy z jednych i tych samych dzielnic zgrupowani naradzali się pomiędzy sobą, jak dalej przeprowadzić podróż. Wielu z pasażerów nie doczekawszy się pociągu szło w kierunku szosy, aby tam szukać innych środków lokomocji.

Wagon, do którego szczęśliwie wskoczyłem, okazał się wagonem taborowym. Mieścił w sobie młyn na mąkę. Byli w nim oprócz kilku krzątających się młynarzy jeńcy angielscy. Anglia jest na zachodzie, toteż tamtędy myśleli przedostać się do ojczyzny, licząc chyba na błyskawiczne zakończenie wojny. Tymczasem przepisy nie pozwalały im jechać z wojskiem. Młyn przez cały czas pracował, starałem się być pomocny Rosjanom, którzy tak szczęśliwie nie zwrócili na mnie uwagi. Narastała warstwa worków, które podwiązywałem konopnymi sznurami. Trafiłem na żołnierzy nie służbistów. Przypomniałem sobie dzieje mojej podróży ciągnącej się aż do Zawoii położonej nad czeską granicą przez Kraków, Kielce, Skarżysko do Warszawy i stamtąd pieszą wędrówkę do Kutna. Byłem ostatecznie wyczerpany, bez grosza przy duszy. bez kawałeczka chleba i zastanawiałem się właśnie, dlaczego to zdecydowałem się na podróż w Poznańskie przed powrotem do Zawoii, w której pozostawiłem moją matkę w krańcowej nędzy. Wydawało mi się niemożliwym wracać z pustymi rękami do swoich, kiedy przebyłem już tak wielki szmat drogi, zdecydowany byłem zrobić cokolwiek, aby zdobyć jedzenie. Wiedziałem, że z Warszawy do Poznania jest bliżej niż z Warszawy do Zawoii, a przy tym mówiono, że jest tam kraj płynący mlekiem i miodem. Jeślibym nie miał zdobyć niczego do żarcia, to co do reszty było mi wszystko jedno. W każdym bądź razie strzegłem się jednego tylko, aby nie położyć się na posadzce której ze stacyjek i leżeć tam do ostatecznego wycieńczenia, dopóki ktoś by mnie nie przygarnął, co było mało prawdopodobne, lub dopóki martwego nie wyniosą na drogę odstacyjną tam, gdzie leżeli pomordowani przez Niemców cywile lub żołnierze niemieccy doścignięci ogniem pepesz, albo żołnierze radzieccy podziurawieni rozrywem pancerfaustu.

Aby przypodobać się żołnierzom, już po skończeniu przemiału próbowałem z nimi zawiązać rozmowę. Lecz nie udawało się to wobec nieznajomości języka rosyjskiego. Byli zdziwieni, tak przynajmniej mi się zdawało, moimi ni w pięć, ni w dziewięć podejmowanymi tematami. Pytałem się o filmy, o ich zdanie o nas, o dziesiątki spraw, jakie mi tylko przyszły na myśl. Następnie starałem się jeszcze — zapytuję sam siebie — dlaczego? — opowiadać wstrząsające, mrożące krew w żyłach historie okrucieństwa hitlerowców. Z nieukrywanym smakiem spoglądałem, gdy dwaj pozostali żołnierze rozpalający przedtem piecyk, wzięli się do obierania kartofli. Następnie, kiedy już roztopili w garnuszku smalec, wrzucił kawałki ziemniaków do garnka ze stopionym tłuszczem. Do przygotowanej potrawy dołączyli, jako jeszcze jedno danie, aby nie znudził ich tłuszcz, sporą miednicę kiszonej kapusty. Odsunąłem się

od piecyka, nie chcąc sprawiać wrażenia człowieka napraszającego się o jedzenie. Na zaproszenie do jadła ucieszyłem się widocznie. Wzruszony do głębi wyjąłem z przegródki plecaka półlitrową butelkę. Żołnierze odradzali picie. Jednakże postawiłem na swoim. Wypiliśmy prosto z butelki dzieląc na trzy hausty, ponieważ jeden z żołnierzy stanowczo odmówił wypicia.

Wódka stała się doskonałym katalizatorem podniesienia temperatury dalszych rozmów. Po zjedzeniu ogromnej ilości ziemniaków i kapusty wypiliśmy kolejno z dwóch menażek herbatę. Następnie zgrzani uchyliliśmy lekko drzwi, aby nałykać się trochę chłodniejszego powietrza. Na dworze przestał deszcz padać. Zbliżyła się stacja jeszcze nie oznaczona nazwą polską, lecz o zwalonej tablicy z napisem gotyckim. W mgnieniu oka wagony zostały wyrojone. Żołnierze porozbiegali się po zakamarkach stacyjnych gromadząc szczapy drzewa, gałęzi, kawałeczki węgla i momentalnie wokół pociągu zaczęły wykwitać setki ognisk, wokół których ustawiano menażki z wodą na herbatę. Nasz wagon mieszczący niewielu ludzi był pod tym względem uprzywilejowany. Mimo że jeszcze nie zmierzchało, niebo było wyjątkowo ołowiane, przeto ogniki stawały się wyraźne, cały transport ludzi wyglądał jak jakiś średniowieczny postój wojska po zwycięskiej bitwie.

Mimo, że wagon w którym jechałem, posiadał piecyk, żołnierze angielscy, dotychczas drzemiący, nie podeszli, aby zagrzać sobie herbatę czy konserwy, wiezione w ładnych skórzanych walizkach. Byli zaopatrzeni w specjalne paczki z materiałem łatwopalnym, które podpalali ustawiając przedtem na blaszanej miseczce, po to aby nie ruszając się z miejsca zagrzać sobie wiktuały. W ten sposób unikając możliwości kontaktu ze Słowianami nie brudzili swej godności. Przed uśnięciem usłyszałem głos trąbki wzywającej wszystkich porozbieganych żołnierzy do wsiadania. Usnąłem z nadzieją, że zdobędę się na przedsięwzięcie zdolne mnie wyprowadzić z obecnego grzęzawiska Przypomniałem sobie moment wyjścia z Zawoii, dużej wioski położonej na stokach Babiej Góry. Wyruszyłem z synem chłopa, u którego czasowo zamieszkiwałem, on po chleb w Miechowskie, ja po chleb w świat. On prowadził wychudłego konia, postanawiając iść lasami, aby go nie dopadli gdzie rekwirujący konie żołnierze. Drogą niby to krótszą, lecz ileż mozolniejszą, niż gdybyśmy szli przez Jordanów do autostrady.

Z krótkiej drzemki wyrwał mnie głos jakiegoś cywila. Był to, jak się później okazało, mój kolega z gimnazjum, syn małomiasteczkowego handlarza bydłem. Wyrzucono go właśnie z wagonu, a chciał dalej jechać i prosił, abym się za nim wstawił u żołnierzy z mojego wagonu. Gotów jest jechać choćby i na dachu. Wzruszyłem ramionami, następnie Rosjanin zawiadujący młynem, który słyszał słowa Nałęczaka machnął ręką, niech wejdzie! Kazał się nam jednakże przenieść za stos worków i poprzesuwać je tak, aby nas ukryły.

Pogoda, której kontury jeszcze chłonąłem — wypiękniała. Zdaje się przeminęła odwilż i na jutro będzie już mroźna pora. Gdy ruszył pociąg, obaj zmożyliśmy się snem. Obudził nas tumult, jaki powstał w naszym wagonie po przyjściu kontroli. Oficer kazał natychmiast wysiadać jeńcom angielskim. Ten z Anglików który trochę rozumiał po polsku, sprzeciwił się zarządzeniu oficera. Wywiązała się sprzeczka. Muszą wyjść — tłumaczył wojskowy — taki jest rozkaz. Zresztą punkt zborny jeńców angielskich jest w Warszawie, stąd też samolotami odjeżdżają do Konstanzy, a następnie okrętem do Marsylii. Anglicy jednak, czy też nie zrozumieli tego, co mówił oficer, czy też nie wierzyli mu, nie zgadzali się nadal opuścić wagonu. Wskazali w stronę, gdzie leżeliśmy, zapytując, czy jest sprawiedliwe pozwalać cywilom na jazdę, a wyrzucać sprzymierzeńców.

Oficer odrazu zawołał w naszym kierunku. Trzeba było wyjść. Podnieśliśmy się ze złością. Wymieniłem znaczące spojrzenia z obsługującymi młyn żołnierzami. Byłem już nieco podreperowany snem i pierwszy raz od wielu miesięcy najedzony. Pociąg sunął wolno. metr za metrem, gdy wyskoczyliśmy. Ujrzałem, że jestem blisko stacji kolejowej. Trudno opisać, co się działo w naszych myślach. Tymczasem dochodząc do stacji spostrzegliśmy znajomy obraz. Z boku dwa kominy cukrowni, jeden co prawda odstrzelony do połowy. Dalej nieco ujrzeliśmy fragment starej cegielni i płaszczyznę jeszcze okrytego lodem basenu i z przeciwnej strony szosę, po której toczyły się kolumny czarnych, ciężko ładowanych samochodów.

— Wiesz ty co? — Zaczął Nałęczak spluwając ze złością. — Ci Anglicy — ja ich dobrze rozumiem — oni na pewno jadą do Gniezna. Tam był ich obóz, ale nie myśl, że musieli tylko w nim przesiadywać. Chodzili na roboty do bauerów. Ale z chwilą kończenia się wojny Niemcy o ich przyjaźń zabiegali. Mieli żarcie lepsze niż ktokolwiek z nas.

Przerwałem mu śmiejąc się — chyba z wyjątkiem ciebie! — Jest dość naiwny, bowiem nie czując sarkazmu w tym, co powiedziałem odparł: — O tak! Mnie się całkiem nieźle wiodło, alem się o to musiał dobrze starać. — A dlaczego oni nie jadą do Warszawy — to także jest całkiem proste. Kto dziś ma chęć maszerować na front? Samolotem za kilka godzin byliby w tej tam, jak się nazywa Konstancji, czy Konstanzy, a następnie za kilka dni w Marsylii, skąd znowu nad Ren i „eine Kugel kam geflogen“. A tymczasem tutaj mają tyle kobiet samotnych i wszystko gotowych więcej ze snobizmu niż z miłości dla nich uczynić. Czem chata. — Ale, ale przerywam Nałęczakowi, spójrz gdzie jesteśmy! Rzeczywiście dzięki przypadkowi nie pojechaliśmy dalej, a wysiedliśmy w miejscu swego przeznaczenia. Ja także wolałem wysiąść w Witkowie, gdzie kiedyś mieszkałem, niż szwendać się Bóg wie po jakich kątach.

II

Skończyłem opowiadać. Ale widziałem, że moi słuchacze są zawiedzeni. Podobnie jak wtedy jadę pociągiem w towarowym wagonie. Tylko pogoda jest piękniejsza. Noc gwiaździsta jeszcze dość mroźna. Otuliłem się wyfasowanym przed dwoma dniami szynelem. Pierwszy odezwał się Oporski, dowódca wagonu, ubrany w skompletowany mundur.

— Nie wiedzieliśmy, że tak potrafisz opowiadać. Masz bracie karierę w kieszeni. Teatr objazdowy. Tylko, tylko nie rozumiem, o co tobie chodzi. Lepiej byś nam opowiedział co o kobietach. Tak ładnie, plastycznie. Chociaż z tymi Anglikami to widzi mnie się jakiś nieuczciwy chwyt. Mogli przecież być zdezorientowani. Odrazu dostrzegać w nich złą wolę.

— To przecież nie ja powiedziałem, ale Nałęczak. Ja za jego słowa nie biorę odpowiedzialności.

Wszyscyśmy podeszli teraz do drzwi, bo usłyszeliśmy wyraźne dudnienie frontu. Postój pociągu przedłużał się. Staliśmy na jakiejś stacyjce na Pomorzu. Na horyzoncie widać było krzyżujące się ramiona reflektorów, lecz były zbyt daleko, żeby dojrzeć. czy w swoich skrzyżowaniach prowadzą jakiś samolot.

— Słuchaj, dlaczego ty tak nudnie opowiadasz, tyloma szczegółami opatrujesz zdarzenia, których przejrzystość na tym traci? A przy tym, co u diabła ma nas obchodzić. Moglibyśmy lepsze historyjki z własnego życia opowiadać, a jeśliby nam tematu zabrakło, to powymyślać. Myśleliśmy, że skończy się przynajmniej jakąś pointą tak drapieżną, że odżałujemy półgodziny pokornego milczenia. — Teraz zabrał głos Nowak, warszawiak, i rzeczywiście mnie celnie ugodził, bowiem natychmiast zareagowałem odpowiedzią:

— Widzicie — odparłem już z gniewem — zanim dostałem się do wojska, przeszedłem to wszystko. Miałem złość do Rosjan, do Anglików, do naszych. Sądziłem, że uczynię wszystko, aby powrócić do Zawoii. Po to jechałem do Warszawy, do Witkowic. Myślałem często o wojsku. Ale przecież byłbym postąpił nieuczciwie wstępując do armii z dobrej woli. A tak, już jestem ofiarą wojny. Szczęśliwym o tyle, że już nie potrzebuję myśleć o szukaniu chleba. Widzicie! — ciągnąłem dalej dramatycznym głosem — opowiadałem wam tylko początek mojego spotkania z Nałęczakiem, zanim was z nim zaznajomię. Zobaczyłem, a raczej usłyszałem, jak ktoś niespokojnie poruszył się w ciemnościach. Zatrzeszczała prycza. Pociąg ruszył. Ponieważ nie zgłaszano protestu, mogłem dalej mówić.

— A więc po kilkudniowym pobycie w Witkowicach byłem już najedzony do syta, ba — obżarty, pierwszy raz od wielu miesięcy. Znalazłem tam grono znajomych Nałęczaka, przy którym kręciłem się w roli pieczeniarza. Jedzenie przywozili zamieszkali przy rodzinach polskich żołnierze rosyjscy z frontu. Ale o ile mogłem jeść ile tylko wlazło, niestety nic nie udało mi się wynieść.

Jan Maria Gisges

NA WYDANIE DZIEŁ MICKIEWICZA

Spłynęła mu wraz z inkaustem
z pióra na papier — tęsknota
jak kropla po liściu spływa,
w której odbiją się szczyty —

Od tego czasu na miejskich placach
pomniki z dłuta powstałe i dni
głowy maczały w mgłach jak w sławie,
póki nie strzaskały swych myśli o bruk —
Wtedy oczy pomników patrzące w kamienne niebo
odeszły z ulic, by w snach
o miłości prześnić nieludzki czas.

*

Przez małe okienka jak przez przymknięte oczy
przecieka światło i jak złotnik kładzie pył
na słowach wieszczych, przez które wiek się przetoczył —
a one złote, złote, pachnące jak jabłko wciąż —

Żarówka spod pułapu oświetla
palce jak skręcone, wyschłe łyko
odwracające zatłuszczone kartki —
jak swoje dnie —
Z ostatniej stronicy Mickiewicz rzucił spojrzenie
i zostawił je jak wiersz najpiękniejszy —
urzeczywistniona tęsknota jeszcze drży
jak wzruszona powieka
pod strzechą na skraju wsi,
w świetlicy na przedmieściu.

*

W naprężonych mięśniach jak w żywym brązie
pęka radość istnienia — jak kasztan w ogniu —
Hej! Ruszamy z posad glob,
by jękiem ludzkim już nie broczył —
A ty ociągający się maruderze —
bacz!
abyś nie przespał,
abyś nie przespał czasu jego rzeźby.

Były momenty, że z goryczą zajadałem pączki czy delikatną szynkę, otwierałem weki w pełnej świadomości faktu, że moja matka dosłownie za górami i rzekami głoduje. Dni jak dni, ciągnęły się w tych godzinach rozterki szczególnie złośliwie i powolnie. Nic lepszego nie mogłem wymyśleć nad to, co nie było zbyt uczciwe, ale z czego siebie rozgrzeszyłem już w chwili powzięcia zamiaru. Jedni ze znajomych mieli krewnych w Poznaniu, dokąd ze względu na trwające tam walki było się diablo trudno dostać. Tak samo im jak i mnie wychodziły bokiem góry jedzenia, i ich pragnieniem było przesłanie tamtym ludziom paczki żywnościowej. Otóż ofiarowałem się zawieźć, nie bacząc na mozoły drogi i niebezpieczeństwo włóczenia się przy froncie. Oczywiście byłem na tyle przytomny, aby paczkę zabrać sobie, ładną, pięciokilową paczkę z masłem, szynką i butelką śliwowicy. Jednakże aby wyjechać, nawet w którąkolwiek stronę, trzeba było mieć pozwolenie na opuszczenie miejsca pobytu, dla mnie ustalonego w Witkowicach. W chwili gdy przyszedłem do magistratu, spostrzegłem, że zgubiłem swoje dokumenty, wszystkie, które posiadałem, a więc Kenkartę. Tak więc zamiast w ogóle wyjechać dostałem się na posterunek milicji. Na szczęście w miejskich papierach znaleziono moją kartę ewidencyjną. Lecz rocznik mój właśnie był wzywany do wojska, na pobór. Pod konwojem, po zwróceniu mi paczki, odprowadzono mnie do RKU, skąd już prościusieńko do koszar. I tak znalazłem się tutaj. Dalej będziemy razem tworzyć opowiadanie. Może któryś z nas zawiesi sztandar na Brandenburgertor.

— A co się stało z Nałęczakiem?—odezwał się uśmiechnięty Oporski. — Byłem zadowolony z tego pytania, bo właśnie o Nałęczaku chciałem mówić. Zapytanie dowiodło mi, że jestem słuchany.

— Z nim widywałem się codziennie. Mówię głosem pełnym obojętności, nie śpiesząc się, wiedząc, że teraz właśnie muszę efektownie wypowiedzieć wszystko, co wiem. — Niestety przez cały czas był zajęty. Na ulicy, gdzie był cel jego przeznaczeń — dom własności jego rodziny, wielka, zabluszczona skrzynia sześcienna w środku ogrodu, prawie wielkością równającego się z parkiem, ta ulica była zamknięta dla ruchu cywilnego. Stał na niej sztab któregoś z marszałków północnego frontu. Wszystkie swe chwile zużytkowywał Nałęczak na szukanie dróg dostania się do siebie. Aby chociaż móc dotknąć parkanu. Niestety ulica była strzeżona ze wszystkich stron. Próbował także spoglądać nań z posesji miejskiej rzeźni, położonej o paręset metrów od jego ulicy. To jedno co mu się udało. Na tych i temu podobnych staraniach zbiegł tydzień. Dopiero ostatniego dnia mojej wolności coś się na tamtej ulicy zmieniło. Ujrzeliśmy pokasowane drogowskazy. W miasteczku zmalał ruch. Ubyło wielu wojskowych. Razem ze mną podszedł aż pod sam dom. Gdy tylko otwierał furtkę, drogę mu zagrodził Rosjanin bardzo, jak sobie przypominam rozchełstany, tylko w koszuli, nie bacząc na chłód wczesnej godziny. — A czego on tu chce? — Nałęczak wyjął z portfelu dokument, dowodzący, iż on jest właścicielem tejże posesji. I z dumą wyczuwalną pod tokiem jego słów powiedział: — To mój dom! — Rosjanin zaśmiał się całkiem, jak mnie się wydało — życzliwie. — Co ty z nim będziesz obecnie robił? — Nałęczak wyuczonym głosem dodaje, również zdziwiony obrotem rozmowy: — Będę mieszkał? — Tu, koniecznie tu? A co będziesz robił z tyloma pokojami — odparował żołnierz. — Nn — to moje! — w ten sposób, nie posuwając się naprzód rozmawiali. Wyczułem, że Rosjanin stroi sobie z Nałącza żarty, co przecież z kolei i na mnie spadało. Właśnie z drzwi wyszedł drugi wojak z pagonami, oznaczonymi rangą podoficera. — Starszyna! — krzyknął ten, który stał przy nas. — Starszyna, idy w czortu, grażdanin pryszoł! — Nie czekając końca owej rozmowy zawróciłem i już od tamtego czasu nie ujrzałem w Wikowicach Nałęczaka. I we mnie wtedy coś się z gruntu odmieniło.

— To już koniec? Zapytał Nowak. — Prawie koniec! — odpowiedziałem z flegmą jeszcze się wahając. Jedziemy w kierunku na Tczew pociągiem o jednolitych wagonach, zapełnionych bezbarwną masą żołnierzy, jeszcze niekoniecznie odpowiednio ubranych. Nas, którzyśmy byli w partyzantce, biorą na front bez przeszkolenia. Innych niekiedy także. Jakoś damy sobie radę. Będziemy chyba tylko wykańczać front.

— We mnie — mówię dalej — dojrzała już przedtem chęć rzucenia tego wszystkiego, jeszcze przed zatrzymaniem mnie na milicji. Bo gdybym nie żywił takiego postanowienia, to i teraz, czy nawet później mógłbym z powodzeniem wiać. Lecz przypadek sam zadecydował. Trudno mnie nawet przypuścić, że mógłbym teraz robić co innego. Kilku kolegów słuchało mnie jeszcze z zainteresowaniem.—Wiecie co—dodałem—a tę paczkę na dowód prawdziwości moich słów ofiaruję do podziału. — Oporski! Napij się pierwszy, byle nie za dużo! Nie jest tak, jak powinno być — powiedział Nowak, warszawiak, jeden z tych, co nie zadzierają z powodu swej stołeczności nosa do góry. Wszystkiemu dobrzy Niemcy winni.

Jeszcze raz odezwałem się już po skończeniu uczty. — A wiecie co z Nałęczakiem? On jedzie z nami, niestety nie w naszym wagonie.

Jerzy Miller

Mieczysława Buczkówna

Niezrównany Pan Czao-Tsyjüe*)

Niezrównany Pan Czao-Tsyjüe — to student uniwersytetu pekińskiego, poczciwy leń, syn zamożnego chłopa, który, jak całe rzesze studentów i inteligencji chińskiej, zagubił się wśród szybkich przemian społecznych i politycznych Chin po wojnie światowej.

Trudno ustalić czas historyczny powieści, nie znajdziemy tu żadnego faktu, żadnego nazwiska ze świata polityki, które pozwoliłoby określić dokładnie, w jakich latach dzieje się akcja.

Jednak atmosfera życia Pekinu, stosunki panujące na uniwersytecie, silne wpływy amerykańskie, postać komunisty-zamachowca Li-Kinkszuna pozwala przypuszczać, że są to lata przed rokiem 1938, gdy stolica została przeniesiona do Nankinu.

Czao-Tsyjüe, tak pobłażliwie potraktowany przez autora, jest przedstawicielem tego odłamu młodzieży chińskiej, która od „zamorskich diabłów", jak mówi się tam o cudzoziemcach, przyjęła sposób życia, która zdobywając nie tylko chińską, ale z Europy przyniesioną wiedzę, staje zbuntowana przeciw konserwatyzmowi własnego narodu, a nieufna i bezradna wobec zagadnień, jakie niesie nauka i obca kultura.

Nasz Czao, gdy ma kupić nowe ubranie, decyduje się na ubiór chiński, rozważa przy tym walory cywilizacji wschodniej i zachodniej.

Zachodnia streszcza się dla niego w kilku słowach — „bogactwo, zbytek, potęga". Chińska zaś to — „wieczne głodowanie, niemieszkalne domy". Jeżeli niedojadanie, noszenie łachmanów i wegetacja w ruderach są nieznane jeżdżącym samochodami, mieszkającym w zagranicznych kamienicach i żyjącym beztrosko cudzoziemcom, to na co mamy jeszcze czekać! — myśli Czao. Choćby z punktu widzenia obrony godności narodowej, dla uratowania wschodniej cywilizacji przed całkowitą zagładą, staje się konieczne wysunięcie na pierwszy plan cech zewnętrznych. To jest po prostu podstawą prawdziwego patriotyzmu! Dalej, tego rodzaju postępowanie jest najekonomiczniejszą drogą zdobycia oświecenia: przeklęci cudzoziemcy wynajdują kolej, dobra. A my sobie będziemy nią jeździć. Oni wynajdują lampy gazowe, dobra. A my sobie będziemy nimi świecić. Czymże oni wtedy będą się mogli szczycić? Cokolwiek zamorskie diabły wymyślą, my to będziemy stosowali, niech się oni dzień i noc trudzą, a my przy mah-jongu będziemy tylko czekać. W ten sposób cudzoziemcy staną się intelektualnie naszymi niewolnikami.

Nie ma nic prostszego, jak zreformować Chiny: niech prezydent wyda dekret z nakazem dla wszystkich jedzenia po cudzoziemsku, ubierania się po cudzoziemsku i tańczenia parami po cudzoziemsku! To starczy, żeby imponować tak samo jak cudzoziemcy. Co się zaś tyczy postępu, studiów, wynalazków etc., kto ma czas, niech się tym zajmuje!"

Oto uproszczona metoda reform naszego Czao-Tsyjüe.

Pekin w owym czasie jest przede wszystkim kulturalną stolicą Chin, modernizacja szkolnictwa sprawia, że jest wielkim ośrodkiem uniwersyteckim, jest miastem uczącej się młodzieży. Większość młodzieży chińskiej przychodzi na uczelnie z nadzieją, że jest to najlepsza droga do kariery, nieznaczna tylko jej część rozumie, że nauka stać się może orężem przeciw imperialistycznej opresji, narzędziem przebudowy społecznej.

Młodzież bierze udział w życiu politycznym i kulturalnym, żąda reformy studiów. Oczywiście jednostki tylko zdają sobie sprawę, w jakim kierunku należałoby zmienić programy uczelni chińskich. Reszta buntuje się — urządza pogromy. Nasz Czao-Tsyjüe jest jednym z prowodyrów takiego pogromu, własnymi rękami wiąże rektora, bije urzędników uniwersyteckich i profesorów.

Komiczne zebranie studentów, któremu przewodniczy Czao, obraduje w sprawie mającego nastąpić strajku uniwersyteckiego. Padają słowa protestu przeciw metodom egzaminacyjnym, przeciw starym profesorom.

„Wszyscy — woła student przygotowawczego kursu uniwersyteckiego, Oujang — rektor, profesorowie, urzędnicy, boją się lania. Chcą egzaminów — dostaną lanie!"

„Czy domyślacie się — z jakiego on pochodzi środowiska? — dodaje drugi. — Jego ojciec, sprzedawał płótno z wózka".

To decyduje. Wszyscy jak jeden mąż uchwalają rezolucję, streszczającą się w jednym słowie: „bić!"

Nie tylko jednak sprawy uniwersyteckie zajmują studentów. Pociąga ich polityka. Nieliczni jednak biorą w niej czynny udział. Zainteresowania ograniczają się przeważnie do krzykliwych dyskusji. Najchętniej dyskutuje się przy wódce, która jest godnym napojem dekadenckiej nieco młodzieży.

Autor książki Lao-sze — to ukrywający się pod tym pseudonimem znany powieściopisarz chiński — Szu Sze-jü. Napisał on kilkanaście powieści poświęconych przeważnie życiu Pekinu. Urodził się tam i wychował. Gdy oprowadza nas po barwnych ulicach stolicy, gdy podpatruje i podsłuchuje studentów, chętnie i często odwiedzających miejscowe restauracje i kawiarnie, gdy oprowadza nas po starożytnym Pekinie, gdzie święta religijne wabią urokiem obrzędów — czujemy, że przy umiłowaniu tradycji bacznie obserwuje przenikanie wpływów cywilizacji europejskiej w życie ludu chińskiego. Odsłania bezlitośnie śmieszność i naiwność, z jaką naród przyjmuje obce wpływy, powierzchownie, pośpiesznie, przy zachowaniu starego zwyczaju, różnic klasowych, które są tak widoczne, w stosunku studentów do posługacza hotelowego, rikszarza, czy nawet rektora uniwersytetu, który jest „tylko synem sprzedawcy płótna... domokrążcy".

Wprowadza nas na zebranie „Związku Równouprawnienia Kobiet", tak żywo przypominające sceny z „Emancypantek" Prusa.

Prócz komicznej strony, z jakiej ukazuje nam ruch emancypacyjny kobiet, jakże poważnie i życzliwie wprowadza do powieści postać studentki, panny Wang, która jest przedmiotem miłości Czao-Tsyjüe.

Sprawa życia uczuciowego Czao, niezrozumiała może dla polskiego czytelnika, jest jeszcze jednym z żywych dokumentów epoki, jakich wiele znajdujemy w powieści.

Zwyczaje życia erotycznego, w których młodzi ludzie pobierają się nie znając się prawie wcale, posłuszni wyborowi rodziców, ulegli pośrednikom, którzy decydują za nich o wyborze — te zwyczaje trudniej niż inne ustępują swobodzie i naturalności, jaką przynosi kultura europejska.

Czao nie może się zdobyć na to, by samodzielnie, wprost szukać porozumienia z ukochaną. Posługuje się pośrednictwem kolegów, z którymi rozważa swoje uczucie, którzy ułatwiają mu lub utrudniają wymarzoną znajomość.

Autor z nieznaczną ironią, pobłażliwym uśmiechem odsłania prywatne życie bohatera książki i jego przyjaciół.

Oto jesteśmy w „Niebiańskim Tarasie" — stancji studenckiej, jak głosi napis u drzwi wejściowych.

W rzeczywistości jest to podrzędny hotelik, jego mieszkańcy okupują zupełną swobodę brakiem komfortu, który nie razi ich przecież.

„Gdy komuś przychodzi chęć pograć sobie w mah-jonga (gra chińska), gospodarz sprowadza dla ożywienia zabawy parę panienek „pięknych jak perły i świeżych jak kwiaty"; dla spragnionych znajdzie się zawsze przyszmuglowany z północy w świńskim pęcherzu z oryginalnymi pieczęciami, autentyczny samogon".

Największym poważaniem wśród mieszkańców Niebiańskiego Tarasu cieszy się Czao-Tsyjüe. Z tytułu swojej dobroduszności, wszechstronnych uzdolnień — jest aktorem amatorskich przedstawień, czołowym sportsmenem, pierwszym w studenckiej drużynie piłkarskiej, a przede wszystkim synem zamożnych rodziców. Ma zawsze pieniądze.

Ulubieńcem wszystkich jest młody Oujang — modniś, spryciarz, który żyje z wygranych w karty i nieznanych bliżej spekulacji.

Reszta — to studenci ekonomii, którzy liczą na posadę w banku i wysokie stanowiska, słuchacze filozofii i literatury, domorośli poeci, pięknoduchy.

W cieniu stoi inteligentny, student-rewolucjonista Li-Kingszun, poważany przez jednych, nienawidzony przez drugich. Przez cały czas nic o nim prawie nie wiemy, dopiero pod koniec powieści demaskuje się zamachem na generała, Komendanta Okręgu Stołecznego, który licznymi wyrokami śmierci terroryzuje chiński ruch ludowy.

Czy Li-Kingszun działa w porozumieniu z jakąś organizacją? Nie wiemy. Komunikat w gazecie opisujący przebieg procesu stwierdza, że wywrotowiec Li-Kingszun, zostający na usługach Partii Komunistycznej, za usiłowanie zabójstwa na osobie Komendanta Okręgu został stawiony przed sąd wojenny.

Jego poprzednie rozmowy z kolegami, w których wytyka im nieróbstwo, niezdecydowaną postawę wobec życia społecznego budzą tylko drażniący niepokój i nieokreśloną chęć działania, która u Czao-Tsyjüe wyraża się krótkotrwałą pracą korepetytora, potem nagłym wybuchem zamiłowań aktorskich, które więdną po pierwszych występach. Dopiero gdy koledzy przychodzą odwiedzić uwięzionego, słuchają, jak w prostych i szlachetnych słowach wyjaśnia motywy swego postępowania, jak bohatersko, skromnie i bez żalu ofiarowuje życie dla sprawy, którą pojmują teraz dopiero. Jego nawoływania, by poszli za nim, nie zostaną bez echa.

Już Czao, wygodny, beztroski, leniwy Czao z narażeniem życia podejmuje zadanie powierzone mu przez Li-Kingszuna. Przyjaciel Czao, urzędnik magistratu wdał się w pertraktacje z Amerykanami, którzy chcą zburzyć zabytkowy „Ołtarz Nieba" — gdyż potrzebne jest miejsce na budowę nowoczesnego budynku. Urzędnika znęciła wysoka suma, jaką obiecują za przeprowadzenie tej tranakcji, otwiera mu to zresztą drogę do kariery urzędniczej.

Nie rozumie polityki amerykańskiej, która niszcząc starożytne zabytki, planowo niszczy kulturę chińską. Czao--Tsyjüe zrozumiał to, przekonały go słowa Li-Kingszuna:

„Naród ma bez wątpienia swą dumę historyczną. Ta duma związana jest w jego sercu z jego dawną potęgą, a najwspanialsze jej pomniki podniecają te uczucia. Nasi rodacy nie mają poczucia narodowego, dlatego też, kiedy w roku 1860 sprzymierzone wojska francusko-angielskie spaliły Pałac Letni, a w r. 1900 Niemcy zrabowali starożytne przyrządy z Obserwatorium Astronomicznego, myśmy na to nie zwrócili wcale uwagi. Co to za okropna hańba! Zobaczmy, jak te rzeczy przedstawiają się za granicą i czy cudzoziemcy mogą spoglądać na nas bez pogardy? Pozwól mi zapytać się ciebie, czy gdybyśmy podpalili angielskie zabytki, Anglicy nie poświęciliby życia w ich obronie? Nawet niekoniecznie Anglicy, nie ma chyba żadnego narodu na świecie, który by zniósł taką hańbę. Dlatego też teraz, przy całej naszej niechęci do przelewów krwi powinniśmy działać. Najważniejszą sprawą dzisiaj jest wzbudzać patriotyzm u naszych rodaków i rozwinąć poczucie godności narodowej. Jeżeli nie będzie w Chinach ludzi narodowo uświadomionych, to Chińczycy będą podobni do dzikich zbóż; bujnie się zazielenią, ale ziarna z nich nie będzie!"

Czao-Tsyjüe jest poruszony tym, co usłyszał. Postanawia rozprawić się ze zdrajcą. Jeżeli nie ulegnie, gotów go zabić. Gdy prowadzi gwałtowną rozmowę z niezupełnie rozumiejącym go przyjacielem, grożąc mu śmiercią, przychodzi wiadomość o aresztowaniu Li-Kingszuna. Obydwaj udają się do więzienia. Tam, nieprzekonany przez zapalczywego Czao, obiecuje przyjaciel zerwanie pertraktacji, obiecuje nowe życie. Tak wielki jest urok rewolucjonisty-patrioty.

Sprawa, za którą Li-Kingszun dobrowolnie oddaje życie, sprawa wolności ludu chińskiego przejmuje i wstrząsa umysłami jego przyjaciół studentów. O ile cała powieść jest dość surową krytyką i satyrą na życie studentów, o ile ludzie i wypadki są przedstawione z bezlitosnym realizmem w brudnym i sennym Pekinie, bawią nas i śmieszą, o tyle epizod końcowy jest pełnym nadziei w postępowe siły młodzieży głosem chińskiego literata i społecznika.

*) Lao-Sze. Niezrównany pan Czao-Tsyjüe. T. T. Witold Jabłoński „Wiedza", 1948.

Fikcyjne przeciwstawienia

(Dokończenie ze str. 7)

formalnie Różewicz jest całkowicie współczesny, a tylko treściowo zapóźniony. Nie ma formy dobrej na wyrost. Forma Różewicza jest dobra dla treści jego wierszy, bo ta treść ją ukształtowała. Ona powstała w toku wyrażania takich właśnie treści, jako ich słowno - literacki wyraz. Owszem, język Różewicza jest prosty i zwięzły, ale jest to język moralisty, a nie człowieka walki. I takim się nam Różewicz w wierszach ukazuje.

Dalej sprawa „języka prozy" u Różewicza. Równie prozaicznego dialogu używał w wierszach T. S. Eliot — poeta pesymizmu (zwłaszcza w pierwszym okresie swej twórczości, gdy obserwuje świat od zewnątrz, od strony gestu, obrazu). U niego służyło to wstecznej ideologi. O Różewiczu tego nie twierdzę, ale jak tu odrywać pewną formalną cechę i dawać jej autonomiczny i wszechzastosowalny sens polityczny na wyrost? Innym językiem używanym przez Różewicza jest język pojęć moralnych, nazywanie cnót, bardzo przypominające Eluarda. U francuskiego poety droga od formalistycznego surrealizmu, atomizacji języka, zmusiła go do elementarnego odbudowania tegoż języka, do prostych nazw kwiatów, dzieci, cnót. Należy pamiętać, że Różewicz przechodził podobną drogę od formalistycznych wpływów Przybosia.

Nie świadczy to przeciwko autorowi „Niepokoju". Wprost przeciwnie, mówi o dużej świadomości samego siebie, no i szczerości. Gorzej, jeżeli do postawy współczesnego, polskiego lewicowca dopożycza się kostiumu od Majakowskiego, czy Pablo Nerudy, Peipera, czy Jesienina — bo to dowodzi albo nieświadomości, albo nieszczerości. W takim wypadku już wolę wyżej wzmiankowany „naturalizm".

W ten sam sposób należałoby najpierw zbadać stosunek Kubiaka do tuwimowskiego nurtu „Skamandra" i wszystkie zanieczyszczenia, sprawę zw. Bratnego z Peiperem i Majakowskim (zwłaszcza biorąc pod uwagę teoretyczne wypowiedzi autora „15 Batalionów"), Woroszylskiego z Bruno Jasieńskim etc., a dopiero potem stwierdzić, czy należą się im te laury, które sobie tak szybko pod czerwonym sztandarem na głowę kładą. Ale to bardzo długa praca i do kogo innego należąca.

Andrzej Braun

I. Łaptiew

Tłum. K. Kawecki

TRAGEDIA AMERYKAŃSKICH FARMERÓW*)

Prawidłowość kapitalistycznej ewolucji rolnictwa odkryta w pracach Lenina otrzymała swoje pełne potwierdzenie we wszystkich krajach kapitalistycznych. Klasyczna praca Lenina o rozwoju kapitalizmu w gospodarstwie wiejskim USA jest naukową zasadą, kluczem do rozumienia procesu rozwoju rolnictwa kapitalistycznego i w tej liczbie farmerów amerykańskich.

Pogorszenie położenia drobnych farmerów stało się na tyle oczywiste, że prasa burżuazyjna nie jest w stanie tego ukryć. Publicysta amerykański Mc. Williams, autor książki „Ill Fares the Land“ (Biedująca ziemia) (Boston 1944), który w roku 1939 był przewodniczącym oddziału emigracji i mieszkań —organizacji państwowej stanu Kalifornia— i którego wcale nie można podejrzewać o sympatię do marksizmu, w swojej książce zmuszony był przyznać: „Wiele lat temu Lenin mówiąc o przemianach zachodzących w rolnictwie Stanów Zjednoczonych powiedział, że „badacze jak gdyby nie podejrzewali tego jak ogromna nędza, ucisk ukrywają się za tymi szablonowymi cyframi“. Obecnie nędzy, uciskowi i ruinie nie można ani zaprzeczyć, ani ich ignorować“.

•

Masowa ruina farmerów amerykańskich, szczególnie wzmożona w czasie drugiej wojny światowej w związku z kryzysem ekonomicznym, przybrała tak wielkie rozmiary, że rząd USA w celu „uspokojenia“ opinii publicznej zmuszony był zorganizować specjalną komisję dla zbadania położenia farmerów. W książce Johna Steinbecka „Grona gniewu“ jaskrawymi barwami została odmalowana tragedia zrujnowanego amerykańskiego farmera na przykładzie rodziny Joed'ów z Kalifornii. „Joedy“ stało się nazwą pospolitą dla wszystkich drobnych farmerów amerykańskich wygnanych z ziemi, zamieniających się w armię bezrobotnych wędrujących w charakterze bezdomnych robotników po kraju w poszukiwaniu pracy i kawałka chleba.

Rządowe komisje senatorów La Folleta (1939 r.) i Tolana (1940) utworzone dla zbadania „problemu migrantów“, tj. tułających się farmerów, odsłoniły wstrząsające fakty masowej ekspropriacji drobnych farmerów amerykańskich, odrodzenie niewolniczo-feudalnych form ich eksploatacji, najstraszniejszej nędzy, wymierania i degradacji kultury. Niezależnie od subiektywnego nastawienia członków rządowych komisji zebrane przez nich materiały przekształciły się w akt oskarżenia amerykańskiego imperializmu, rozwiały mit o „rozkwicie“ drobnych farmerów, zerwały zasłonę z obłudnej demokracji burżuazyjnej.

Ewolucja rolnictwa kapitalistycznego charakteryzuje się tym, że w pogoni za zwiększonym zyskiem kapitaliści stwarzają ciasno wyspecjalizowane, jednostronnie rozwinięte gospodarstwa z wyraźnie zarysowaną sezonowością produkcji. Odpowiednio do tego gospodarstwa takie wymagają rezerw, zbędnej siły roboczej w rodzaju robotnika rolnego z działką — tej typowej figury najemnego robotnika rolnego wszystkich krajów kapitalistycznych.

„Migranci rolni“ przedstawiają właśnie tę formę przeludnienia agrarnego. „W ciągu dwóch lat — pisze Mc Williams — najemcy dążą do podtrzymania ogromnych rezerw bezrobotnych, które by dawały im możność zaspakajania sezonowych potrzeb siły roboczej“ (str. 37).

Migranci, którzy przybyli do Kalifornii, o której reklama amerykańska głosi, że jest „sadem z bajki“ zazwyczaj osiedlają się na nic nie wartych niezdatnych do uprawy ziemiach lub wokół wspólnych śmietników. Karłowata działka jałowej ziemi kosztuje nie mniej niż 200 dolarów. Powstają osiedla liczące od 4 do 8 tysięcy mieszkańców. Tutaj można znaleźć różnorakie typy „mieszkań“ poczynając od baraków, domków przenośnych, budynków z jednospadowym dachem, lepianek i kończąc na małych domkach 1—2 pokojowych. W tych dziurach brak jest elementarnych warunków sanitarnych. Woda kosztuje często tyle, ile migrant musi płacić każdego miesiąca za swoją działkę. Utrzymanie ogrodów jest prawie niemożliwe ze względu na nie nadający się do tego celu grunt.

Proletaryzacja i upadek farmerów amerykańskich przyjęły szczególnie ostre formy na byłym niewolniczym południu, w bawełnianych okręgach Texasu i Oklohamy. Ekspropriacji samodzielnych farmerów towarzyszy rozszerzanie się feudalno-pańszczyźnianych form eksploatacji... Kapitalistyczna uprawa oraz wprowadzenie mechanizacji zasiewów, pielęgnacji, a ostatnio i zbioru powoli umniejszała znaczenie pracy robotnika-migranta.

Opis życia robotników rolnych w Texas dokonany przez Mc Williamsa przypomina najczarniejsze sceny z czasów niewolnictwa.

Obraz „niewolnictwa industrialnego“ jest charakterystyczny nie tylko dla Texas. Nie ma takiego zakątka w Stanach Zjednoczonych, gdzieby nie panowali wielcy przedsiębiorcy eksploatujący masy najemnych robotników rolnych, którzy żyją w barbarzyńskich warunkach bytowania. Takie jest położenie na buraczanych plantacjach w Kolorado, na plantacjach roślin cebulowych w Ohio, na plantacjach pomidorowych w Indianie, na plantacjach figi na Florydzie, owocowych w który odbywał się i odbywa w przemyśle. New Jersey. Wszędzie postępuje masowa ekspropriacja drobnych i średnich farmerów, którą słusznie porównują z ogradzaniem ziemi w Anglii za czasów tzw. pierwotnej akumulacji.

Koncentracja przemysłu rolnego i przedsiębiorstw przetwórczych doprowadziła do powstania dużych monopoli.

Wielkie organizacje monopolistyczne istnieją we wszystkich gałęziach przemysłu rolnego. Rejestr ich można znacznie rozszerzyć. Np. jednym z większych zrzeszeń wytwórczych i zbytu mleka naturalnego, sera mrożonego jest „National Diary Product Corporation“, na którego rachunek należy zapisać rozprowadzenie 30—50 proc. mleka naturalnego w szeregu wielkich miast USA. Zgodnie z danymi Biura Dochodów Wewnętrznych cztery wielkie zrzeszenia, w tej liczbie „Swift“ i „Armur“, kontrolują 45 proc. produkcji przemysłu mięsnego, skupiając w swoich rękach wszystkie stadia produkcji począwszy od zakupu bydła u farmerów do sprzedaży detalicznej gotowych wyrobów. Monopole kapitalistyczne zdobywają gospodarstwa wiejskie na drodze pożyczek pieniężnych, na zasadzie lichwiarskich kontraktów z farmerami. W gospodarstwie wiejskim odbywa się ten sam proces podboju przez monopole w dziedzinie obrotów i produkcji, Zrzeszenia monopolistyczne ograbiają dosłownie farmerów. Istnieje ogromna różnica między cenami, które płacą monopole za przetwarzanie produktów i w handlu towarami rolniczymi farmerom i detalicznymi cenami, za które monopole sprzedają produkty konsumentowi. Podczas gdy setki tysięcy drobnych farm w czasie kryzysu ekonomicznego zostało zrujnowanych wyżej wspomniane zrzeszenie „National Diary Product Corporation“ uzyskało przeciętnie 13 proc. zysku od swoich wkładów kapitału. Z każdego dolara, którym płaci za mleko konsument, farmerzy otrzymywali 35, a zrzeszenie 65 centów. A oto inny przykład: za skrzynkę z 24 bańkami konserwowanych brzoskwiń konsumenci płacili 4.08 dolara, wtedy kiedy ogrodnicy za 45—50 funtów świeżych brzoskwiń ułożonych w tych bańkach otrzymywali 20 centów, czyli ok. 5 proc. ceny detalicznej brzoskwiń konserwowanych.

Hipokryci burżuazyjni przekonują, jakoby Zrzeszenie Amerykańskich Farmerów było powołane do obrony interesów drobnych i średnich farmerów. Ta organizacja znajduje się jednak w rękach kierowników monopoli kapitalistycznych. Na czele każdego oddziału Zrzeszenia stoją asy kapitału finansowego lub ich przedstawiciele. Kolosalna armia zrujnowanych farmerów, na wpół głodnych, oberwanych, zwanych „włóczęgami“, „czarnymi drozdami“ itp. z jednej strony, wielkie monopolistyczne organizacje i farmy kapitalistyczne chłonące ogromne zyski z drugiej strony — oto dwa bieguny nędzy i bogactwa, rozwiewające mit o „trwałości“ pozycji gospodarczej drobnych i średnich farmerów. „Powstaje paradoksalna sytuacja“ — pisze Mc Williams — „ziemia jest bogata, ale naród biedny“ (str. 287). Szczególnie ciężkie jest położenie robotników rolnych w USA, których liczbę oblicza się na trzy miliony ludzi. Na nich nie rozciąga się nawet to ograniczone prawodawstwo, które istnieje w USA. Trwanie dnia roboczego nie jest regulowane przez prawo. Mimo represji i niebezpieczeństwa robotnicy rolni wzmagają swoją walkę z przedsiębiorcami. Np. w maju 1946 roku w stanie Pensylwania na wielkiej farmie o powierzchni 3.000 akrów 250 robotników rolnych i robotnicy fabryki konserw ogłosili strajk protestując przeciwko niskim zarobkom i przeciwko strasznym antysanitarnym warunkom. Bandyci z Ku-Klux Klanu grozili strajkującym, że się z nimi rozprawią. W celu złamania prawa federalnego do Pensylwanii sprowadzono z innych stanów zbrojnych łamistrajków. Mimo terroru strajkujący utrzymali się przez 6 tygodni. Ekonomiści burżuazyjni na podstawie wygodnych dla nich „przeciętnych“ świadków, ukrywających rzeczywistą sytuację, rozdmuchali w czasie drugiej wojny światowej swoje rozprawy o „rozkwicie“ drobnych i średnich farmerów. W rzeczywistości wojna nie tylko nie powstrzymała koncentracji przemysłu rolnego i rugowania „farm rodzinnych“, a odwrotnie przynagliła ten proces. Rejestry rolne przeprowadzone w USA pokazały, że ogólna liczba farmerów w ciągu dziesięciu lat 1935—1945 zmniejszyła się do 1 miliona. Od roku 1940—1945 liczba farm posiadających ponad 1 tysiąc akrów wzrosła prawie 10 tysięcy razy i osiągnęła 110 tysięcy. Z drugiej strony liczba farm posiadających mniej aniżeli 180 akrów skurczyła się do 250 tysięcy. Wielkie farmy (od 175 akrów i więcej) wynoszące wg. spisów z 1945 roku 21,4 proc. wszystkich farm, rozporządzają 74.4 proc. całej uprawianej powierzchni.

Lee Fryer w książce „The American Farmer“ (New York — 1947) pisze, że „cztery miliony rodzin farmerów ma przeciętnie już tylko 40 akrów ziemi uprawnej. W 1950 roku ich działki jeszcze się zmniejszą. Powierzchnia ich pól wciąż się kurczy z powodu wzrostu wielkich farm“. Co się tyczy wzrostu dochodów finansowych farmerów w czasie drugiej wojny światowej, o których trąbią obrońcy kapitalizmu amerykańskiego, to należy mieć na uwadze, że siła nabywcza dolara amerykańskiego w czasie wojny na skutek inflacji zmalała wg oficjalnych danych o 70 proc. Odpowiednio do tego problemu także koszty utrzymania przybrały inny wygląd.

Dalej należy pamiętać, że w związku ze wzrostem cen podniosła się opłata dzierżawna i ceny ziemi. Rejestr cen akra ziemi wzrósł od 1912 roku do 1914 na 100 z 83 przeciętnie, w latach 1935—1939 do 142 w 1946, tj. ponad 70 proc. W rezultacie znacznej podwyżki cen ziemi i podrożenia towarów przemysłowych zwiększyły się finansowe kłopoty farmerów.

O koncentracji przemysłu rolnego świadczy fakt, że wg obliczeń ekonomistów amerykańskich 1/3 wszystkich farm produkuje 79 proc. ogólnej produkcji gospodarstwa rolnego, a na 2/3 farm przypada tylko 21 proc. W rzeczywistości poziom koncentracji jest jeszcze wyższy. Obliczono w USA, że ok. 60 proc. wszystkich farm otrzymuje tylko 10 proc. ogólnego dochodu farmerów. Na podwyżce cen w czasie wojny zarobili więksi farmerzy kapitalistyczni i monopole. Np. przeciętny roczny zysk monopoli żywnościowych, który wynosił w latach 1935—1939 435 milionów dolarów, wzrósł w latach 1941—1943 do 1382 milionów dolarów, tj. trzy razy. Wg danych oficjalnych ok. 3/4 obligacji państwowych rozmieszczonych wśród farmerów skupiło się w rękach 10 proc. farmerów. Powojenny okres rozwoju amerykańskiego gospodarstwa rolnego pokazał, że proces pauperyzacji farmerów pracujących w USA wzrasta. Znaczna część amerykańskich farmerów nie ma możności zaopatrzenia się w maszyny rolnicze, traktory, ze względu na wysokie ceny ustanowione przez monopole. Zasadniczą przyczyną podwyżki cen na maszyny rolnicze są ogromne zyski monopolistów. Tak np. koszty siły roboczej potrzebnej do przygotowania pługa trójlemieszowego, za który farmerzy płacą monopolistom 153,5 dolara, wynosi w całości 11,2 dolara. Koszty siły roboczej w produkcji separatorów wynoszą prawie 14,7 dol., a cena tej maszyny w sprzedaży wynosi ponad 100 dol. Wg. danych z 1945 roku tylko 32,2 proc. farm posiadało traktory i tylko 22,2 proc. farm miało auta ciężarowe. Tendencje do obniżenia cen produktów rolnych dające się ostatnio zauważyć niezwykle zaostrzają przeciwieństwa w amerykańskim gospodarstwie wiejskim. W USA obecnie mówi się już o nadprodukcji, o konieczności obniżenia produkcji. Tak np. Narodowe Zrzeszenie Przemysłowców i Izba Handlowa wysunęły wniosek o „usunięcie“ z gospodarstwa wiejskiego 1,5—4 milionów gospodarstw. Truman nawet powiedział, że na rok 1949 przewidziane jest **zmniejszenie zasiewów.** Oczywiście zada to nowy cios drobnemu i średniemu farmerowi. „Jeśliby ceny na produkty żywnościowe ponownie spadły do poziomu z roku 1939, milionom rodzin farmerów grozi zupełna ruina, ponieważ farmy ich są małe i nierentowne“ — pisze Lee Fryer we wspomnianej książce. **Amerykańskiemu gospodarstwu rolnemu grozi nowy kryzys agrarny, brzemienny w głębokie następstwa.**

*) Bolszewik, Nr 5 (fragmenty).

Wiktor Woroszylski

CYTADELA*)

— Tobie by iść na Kaukaz,
na dzieła wesołe, zuchwałe,
carski oficerze, Dąbrowski!
— Już mi nie iść na Kaukaz,
mierzi niesłuszna walka,
dzieła nieprawe, krwawe,
wrogą ręką wybrane losy!

— Tobie by życie w karty przegrać,
przepić, rozdać dzierlatkom pięknym,
panie szlachcicu, Dąbrowski!
— Życia mi w karty nie przegrać,
o takie życie nie dbam,
dziś mi inne rangi, inna szlachetność,
życie moje komu innemu rozdam.

...Były sonaty na szpinecie,
dworek, wysnuty z wyobraźni.
Dziś mi już nie o dworku marzyć,
gdzie dziad gasnący płomień niecił
w skórę oprawnym romantyzmem
starej dębowej biblioteki!
W tym dworku słowa, jak „ojczyzna“,
od lat dziesiątków krwią nie ciekły,
więc szły w ordynku — czyste, strojne,
niby w kazaniu, dźwięcząc obco.
Może dlatego było pojąć
trudno te słowa małym chłopcom
w latach czterdziestych, w Żytomierzu,
na wschodnim krańcu Europy,
tam, gdzie wokoło step bezbrzeżny
i pola pańszczyźnianych chłopów.

Dzieciństwo. Monotonna pieśń
sołdatów rosyjskiego cara.
Z mgły ulepiona twierdza Brześć.
Szkoła kadetów. Świt w koszarach.
Poranna trąbka, werble, musztra —
dzieciństwo się z młodością ściera.
I zastygł w petersburskich lustrach
blask szlif młodego oficera...

Tak. Życia pół się przehulało,
carom służyło się od dziecka,
aż nagle — dziwo! — Wielką Sprawą
ojczyzna wstaje — nie szlachecka,
ta, która siebie zdradzać uczy,
gładkich frazesów brzęcząc kieską,
ale ojczyzna prostych ludzi,
nieobecnych czynom, obcych gestom,
nie ta ojczyzna, co odpycha
synów najlepszych, którzy na nią
orzą, murują, płótno tkają
(ojczyźnie tej na imię pycha),
ale ta druga, jeszcze cicha
i zbyt pokorna, bo bezprawna,
lecz będzie głośna, będzie silna,
mądrością ludu nieomylna
(ojczyźnie tej na imię prawda),
i mnie ojczyzna nowa przyjmie,
wśród synów jej i moje imię.

— Dąbrowski! Zaliż śmiesz wybierać
jeszcze ojczyzny, losy, prawdy?!
Patrz: zęby krat wyszczerza śmierć,
tych murów dreszcz to także śmierć —
z tyradą swoją dobrześ trafił!
To Cytadela, Cytadela —
jeśli stąd wyjdziesz, to szaleńcem,
półtrupem, ślepcem, suchotnikiem!
— Są dwie ojczyzny. Ja wybieram.
Ja wytrwam i odpędzę śmierć
i losów nie zamienię z nikim.

*) Z poematu pt. „Noc komunarda“. który niebawem ukaże się nakładem Biblioteki Świetlicowej Domu Wojska Polskiego.

Genowefa Szturchaniec

PRAKTYCZNA TEORIA

„Ile Kott narobił gaff...
Tyle szczęścia niech ma Staff...“

Minęły już dawno czasy, gdy profesorowie Bęcwalscy w braku poważniejszych argumentów natury teoretyczno-literackiej długo delektowali się rozmazywaniem żartów z zabawnych gaff rzeczowych w artykułach Kotta, licząc, że w ten sposób obalą tezy merytoryczne świetnego krytyka. Dziś praktyki te należą do przeszłości. Poważny polemista, a nawet serdeczny przyjaciel po piórze, lapsusy Kotta traktować może tylko z rozbawieniem. Rangi literackiej i naukowej pierwszego rewidenta naszej historii literatury nie jest w stanie zakwestionować dziesięciu Wołodyjowskich skazanych na rozsiekanie w pojedynku z Bohunem. Jeśli Minkiewicz przypomina te sprawy w życzeniach dla Staffa, to zapewne dlatego, że trudno byłoby znaleźć dowcipniejszy rym do egzotycznego nazwiska jubilata.

Rewelacyjne przejęzyczenia publicystów, pomysły korektorów i redaktorów technicznych, połączone z kącikami samokrytyki w momencie otrzeźwienia, należą do żelaznego repertuaru każdego pisma. Przytoczona przez **ph** lista potknięć „Kuźnicy“ w ostatnich kilku numerach — spora, choć niekompletna — nie wywołała większego wrażenia.

Fala wesołości, jaka ogarnęła kilka tygodni temu Rzeczpospolitą z powodu zabawnej pomyłki red. Króla, który powołał się na komedię Niemcewicza p. t. „Odprawa posła“, utrzymana była w granicach tych ucieszonych, a nieszkodliwych sensacji, bez których „Camera obscura“ nie mogłaby w ogóle prosperować, a literaci skwaśnieliby wśród miażdżącego szacunku dla swych sąsiadów na Parnasie. Cała sprawa nie warta byłaby wzmianki, gdyby nie fakt, że została ona w 14 (212) N-rze zaprzyjaźnionego „Tygodnika Powszechnego“ wznowiona w sposób, który nie pozostawia złudzeń co do politycznego sensu notatki p. t. „Teoria i praktyka“, podpisanej przez pana **jas.**

„Wieś“ była od dawna solą w oku „Tygodnika Powszechnego“. Niemaskowany antyklerykalizm pisma, jego sojusz z postępowymi żywiołami społecznymi w masach chłopskich, które wyemancypowały się z kręgu pojęć kultury parafialnej, sprawiły, że „Wieś“ jest dla pism konserwatywno-klerykalnych przeciwnikiem wysoce niepożądanym. Chłopi, stanowiący w swej masie przez długie lata ostatnią stawkę rodzimego wstecznictwa, coraz wyraźniej wymykają się spod opieki wszelkich „dobrodziejów“ duchownego autoramentu. W takiej sytuacji można istotnie popaść w furię i uczepić się kurczowo najwątlejszych nawet szans unicestwienia jednej z sił wrogiego frontu ideologicznego.

Stąd śmieszne przejęzyczenie staje się dowodem „plątania Niemcewicza z Kochanowskim“ (podziwiamy zręczność insynuacji!), okazją do patetycznego rozdarcia szat nad losem chłopa, wydanego na łup „Wsi“.

„Praktyczna teoria“ **jasa** brzmi: „jeżeli św. Tomasz i Luter są w jakimkolwiek względzie zgodni, to znaczy, że teza, którą obaj przyjmują zawiera niewątpliwą prawdę“. Sprzymierzonego Lutra dla swych tomistycznych wywodów dostrzegł **jas** w rozsierdzonym krytyku „Kuźnicy“. Cokolwiek jednak dałoby się powiedzieć o nieoczekiwanym froncie ideologicznym (**jas, r. m.** i „Camera obscura“), imuptowanie wszystkim kombatantom politycznych celów, przyświecających filarowi klerykalizmu, wydaje się operacją co najmniej nieumotywowaną. Sz. polemista zapomniał, że, jak twierdzi znane przysłowie, jeśli dwaj robią to samo, nie jest to jednak to samo, a dalej, że dziś już niemal powszechnie podaje się w wątpliwość różne „niewątpliwe prawdy“, wspólne Lutrowi i św. Tomaszowi. Dlatego nadzieja podstawienia nogi „Wsi“ przy pomocy Zjednoczenia Teologów i fingowanej krucjaty przeciw pismu nie przyniesie oczekiwanych korzyści politycznych

Małostkowe czepianie się drobnostek w celu unieszkodliwienia niewygodnych tez jest chwytem starym i ogranym. „Tygodnik Powszechny“ z precyzją, świadczącą o skrzętnej lekturze naszego pisma, wychwytuje drobne potknięcia się redaktorskiego pióra i niemniej sumiennie unika merytorycznej dyskusji. O ile nie zostanie zaczepiona teza ostatniego kazania niedzielnego, organ Kurii Xiążęco-Metropolitalnej z osławionym taktem nabierze wody w usta w każdej konkretnej, żywej sprawie społecznej. Gdzie mówienie demaskuje — milczeć i milczkiem kąsać w łydkę za głupstwo — to tradycyjna taktyka, stosowana przez „Tygodnik Powszechny“ od początków jego istnienia.

Hasłu aktywizacji społecznej prowincjonalnych pracowników kultury poprzez ich udział w ruchu masowym, hasłu, które wzywa do walki z monopolem Ciemnogrodu w sutannach, grasującego wciąż jeszcze po prowincji, przeciwstawiono kpinki z karkołomnej może, niemniej zupełnie uprawnionej metafory. „pejzaż końskiego uda“. A rozprawa z niechlujnym tradycjonalizmem w pedagogice szkoły średniej, z karygodnym mąceniem w głowach młodzieży, ułatwiającym jej śpiączkę umysłową i bezbronność wobec klerykalnej agitacji — starano się zlikwidować rozmazywaniem drobnego przejęzyczenia, jakie zdarza się nieuchronnie każdemu pisarzowi.

Wstecznictwo, przyduszone na którejś ze swych pozycji, nie może odkryć kart w otwartej polemice, a więc próbuje zamazać, zbagatelizować, wykpić, wykręcić...

Chwyt ten powtarzał się wielokrotnie zarówno w codziennych utarczkach publicystycznych, jak i w dyskusjach o wielkiej skali dziejowej, gdzie w grę wchodziły sprawy o doniosłości historycznej. Mutatis mutandis znamy to zjawisko np. z dziejów polemiki, jaka rozpętała się wokół „Dwóch taktyk socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej“ Lenina. Mieńszewicy z zapałem podchwycili okazję do kpinek z drobnej pomyłki Lenina, który tłumacząc Engelsa, wziął właściwe nazwisko Stefana Borna — Buttermilch (maślanka) za rzeczownik pospolity, za złośliwy epitet pod adresem organizatora „Braterstwa Robotniczego“. „Kolcow napisał, że ja „pogłębiłem Engelsa“ (przedrukowane w wydawnictwie „Za dwa goda“). Plechanow teraz znów przypomina ten błąd w piśmie „Towariszcz“ — słowem, znalazła się wspaniała okazja, by zatuszować kwestię dwóch tendencji w ruchu robotniczym 48 r. w Niemczech, tendencji Borna (pokrewnej naszym ekonomistom) i tendencji marksistowskiej“— pisał Lenin w notatce do wydania z r. 1908.

Metoda unikania dyskusji merytorycznej na rzecz rozmazywania błędów w tłumaczeniu i zwykłych przejęzyczeń jest wypróbowaną metodą dyskutantów, którym brakuje już argumentów.

Spróbujmy sparafrazować ton polemiczny „Tygodnika Powszechnego“. Cała sprawa prosi się o epitet: „rażące, aroganckie, kąsające milczkiem krętactwo polityczne“ — według najlepszych historycznych wzorów od św. Tomasza do Lutra.

Piotr Pigwa

Dotrzymają kroku

List otwarty 1.200.000 junaczek i junaków powszechnej organizacji „Służba Polsce“ do Prezydenta Rzeczypospolitej Bolesława Bieruta jest niewątpliwie ważnym wydarzeniem na odcinku młodzieżowym.

Młodzież „SP“ pisze m. in.: „Dotrzymamy kroku naszym rodzicom, braciom i siostrom, którzy z dnia na dzień wydobywają więcej węgla i rudy, zasiewają więcej ziemi, budują więcej domów, fabryk, mostów i dróg, produkują coraz więcej towarów...“.

Oznacza to, że ponad milion młodzieży podejmuje szereg zadań produkcyjnych w swoim zakresie. Jest tych zadań niemało.

Przede wszystkim trzeba się uczyć. „Uczyć się — mówił min. Skrzeszewski do SP-owców — by zdobywać prawdziwą wiedzę o świecie i Polsce, uczyć się, by rozszerzać poznanie stosunków społecznych i gospodarczych, pogłębiać znajomość praw rządzących światem, praw materii i stałego postępu“.

Młodzież zrzeszoną w Służbie Polsce wychowuje już nowy ustrój, przesuwający się z dnia na dzień, z godziny na godzinę w stronę socjalizmu. Ale socjalizmu nie można zbudować bez odrodzenia przemysłu i rolnictwa, bez oparcia przemysłu i rolnictwa o socjalistyczną naukę. Na poprzednich pokoleniach postępowej młodzieży spoczywał główny ciężar walki z ustrojem burżuazyjnym. Na dzisiejsze spada obowiązek budowy fundamentów pod socjalistyczną Polskę.

W ciągu bieżącego roku zobowiązali się SP-owcy wykonać na odcinku wiejskim takie prace jak: wybudowanie i uregulowanie 603 km kanałów odwadniających, oczyszczenie i wykopanie 1.843 km rowów melioracyjnych. Podniesie to znacznie wydajność ziemi. Równocześnie SP weźmie masowy udział w akcji „H“ i zakładaniu związków branżowych. „Zbudujemy i naprawimy 3.101 km dróg dla stworzenia lepszych warunków wymiany między miastem i wsią. Zalesimy około 30.000 ha ziemi. Przyczynimy się do upowszechnienia kultury, popularyzując książki i gazety oraz zwalczając analfabetyzm. Zorganizujemy 1.361 kursów dla analfabetów, wybudujemy i wyremontujemy 1.608 świetlic, domów ludowych i szkół. Doprowadzimy do wsi 787 km linii radiofonicznych i 392 km linii elektrycznych“.

Wszystko to są zadania związane nie tylko z odradzaniem się gospodarczego i kulturalnego życia wsi, ale także z jego reorganizacją, przesuwaniem na nowy etap rozwoju.

Każda świetlica, ośrodek maszynowy obsłużony przez młodzież Służby Polsce, związek branżowy — przekształca w jakimś stopniu stosunki w produkcji na odcinku rolnictwa, zbliża wieś do socjalistycznych form gospodarki.

Lenin mówił, że socjalizm jest to elektryfikacja plus władza radziecka. List młodzieży SP zawiera zobowiązanie do intensywnej pracy nad wprowadzeniem elektryczności na wieś. Ale wprowadzenie prądu elektrycznego oznacza równocześnie zmianę bazy technicznej w produkcji rolnej, która będzie odtąd opierać się nie na pierwszym, ale na ostatnim słowie nauki, na jej najświeższych osiągnięciach. Sens nauki, jaką osiąga junak SP leży więc nie tylko w tym, że jest ona bezpośrednio związana z praktyką, z konkretnymi pracami społecznymi, ale i w tym, że da się ona użyć po linii interesów drobno- i średniorolnych chłopów. Nauka przekształca stosunki w produkcji i przekształca równocześnie nadbudowę ideologiczną.

Dlatego można i trzeba uważać ponad milion młodzieży SP za najbliższe, bezpośrednie zaplecze nowej, ludowej inteligencji techniczno - wytwórczej, o którą tak bardzo nam dziś chodzi.

W liście junaczek i junaków do Prezydenta Rzeczypospolitej zwraca uwagę jeszcze jedno zagadnienie. Mianowicie — sprawa walki z analfabetyzmem. Zagadnienie to otwiera dla młodzieży SP. nowy, olbrzymi zakres pracy. Wiadomo przecież, że analfabeci nie potrafią zabrać się do elekryfikacji, nie zrozumieją jej przekształcającego życie społeczno - gospodarczego sensu. Zresztą nieraz sama umiejętność czytania i pisania tu nie wystarczy.

Przed naszą klasą robotniczą i jej aktywną młodzieżą stoi zadanie: wychować niejako na nowo, przeszkolić, przeciągnąć na swoją stronę potężne liczebnie masy drobno- i średniorolnych chłopów, aby ostatecznie rozbić opór wiejskiej burżuazji. Zatem oprócz poszerzenia bazy technicznej wzmacniającej gospodarczo pozycje chłopskich sojuszników klasy robotniczej, konieczna jest praca ideologiczna. W tym sensie problem zwalczania analfabetyzmu należy rozumieć szerzej, nie tylko jako naukę czytania i pisania, ale również jako naukę pozwalającą rozumieć społeczny i polityczny sens budowy świetlicy, ośrodków maszynowych i nowych dróg.

W liście do Prezydenta RP ponad milion młodzieży zadeklarowało swój udział w tej pracy, jako awangarda. Ale wykonanie tych zadań wymaga rzetelnej nauki. „Z zapałem będziemy opanowywać naukę i technikę... uzbrojeni w gorącą miłość Ojczyzny i wszystkiego co postępowe w świecie — wzniesiemy możliwie największy wkład w budowę Polski, w której nie będzie wyzysku człowieka przez człowieka“ — czytamy w liście.

Czy można wierzyć, że młodzież Służby Polsce, wykona zadania, do których zobowiązała się społecznie? Oczywiście — tak. Trzeba wierzyć, że wykona więcej niż zaplanowała na bieżący rok. Tak jak było w roku ubiegłym.

Krzysztof Martyński

Sojusz robotniczo-chłopski w Austrii *)

„Weg und Ziel“ — organ KC Komunistycznej Partii Austrii pisze w numerze październikowym (z 48 r.): „Nie będzie przesady, jeśli stwierdzimy, że stoimy w przededniu poważnych walk klasowych w Austrii... kapitał prowadzi dziś uporczywą, kierowaną centralnie przez czynniki austriackie, walkę klasową przeciwko klasie robotniczej... Walka klasowa robotników wymaga planowej i organizacyjnej siły kierowniczej. Siłą tą jest partia komunistyczna“.

W numerze 3, marcowym (z 49 r.), to samo pismo poświęca wiele uwagi walce klasowej małorolnych chłopów i robotników leśnych w Austrii. Stawia tę sprawę artykuł Laurenza Gennera — „Der Kampf der Landarbaiter“.

W Austrii nie została dotychczas przeprowadzona reforma rolna. Przed wojną posiadała Austria 1.652.800 ha ziemi uprawnej. Według dzisiejszych danych statystycznych jest w Austrii 200.000 gospodarstw od 1 do 5 ha, 76.000 od 5 do 10 ha.

200 tysięcy małorolnych i 76 tysięcy średniorolnych rodzin chłopskich w Austrii nie może wyżyć z własnego gospodarstwa. Chłopi ci odczuwają w ciągu całego roku gorzki przednówek, brak żywności, brak ziarna siewnego, brak nawozów sztucznych, maszyn. Jedyna droga awansu społecznego, to praca robotnika leśnego lub służba u obszarników lub wiejskich bogaczy. Na tej drodze można zostać nadzorcą lub przy sprzyjających okolicznościach urzędnikiem administracyjnym. Można też trafić do przemysłu, fabryki. Lecz nigdy wyżej ponad zwykłego robotnika.

Lecz i na wsi, na skutek bezrobocia i rosnącej proletaryzacji, napotyka małorolny chłop na konkurencję bezrolnych najemników. Dane statystyczne z 1947 r. wykazują 400.000 najemnych robotników rolnych, zatrudnionych w rolnictwie, co stanowi 25 proc. liczby zatrudnionych w ogóle. W tej liczbie 45 proc. kobiet i 15 proc. młodzieży. Z tej ogólnej liczby 400.000 na majątki ziemskie przypada około 80.000 robotników rolnych i leśnych, około 60.000 to robotnicy sezonowi, pracujący połowę roku lub krócej, w zależności od zapotrzebowania pracodawcy.

Na wsi austriackiej panuje srogi ucisk klasowy. Wieś jest całkowicie opanowana przez bogaczy wiejskich i właścicieli ziemskich. Bogacze opanowali samorząd, gminę, izby rolnicze, urzędy, instytucje. W sejmach krajowych i w Wiedniu wieś jest reprezentowana przez przedstawicieli bogatej wsi. Ale ani partia kapitalistów wiejskich (Volkspartei), ani socjaliści nie dbają w sejmie o sprawy biednej wsi, tym bardziej o sprawy bezrolnych, robotników rolnych i leśnych. Złudne były nadzieje, jakie wiązali biedni chłopi austriaccy w 1918 i 1919 roku z reformami społecznymi socjalistów. Żadnych radykalnych reform społecznych i ustrojowych, które by zmieniły los chłopa, socjaliści nie przeprowadzili. Także w późniejszym okresie, za czasów II Republiki socjaliści nie troszczyli się o równouprawnienie robotników rolnych i leśnych.

Na przykładzie austriackim sprawdzają się słowa Stalina o obojętnym, a nieraz wręcz negatywnym stosunku partii II Międzynarodówki do sprawy chłopskiej, do sprawy sojuszników proletariatu. Ten negatywny stosunek — stwierdza Stalin w „Kwestii chłopskiej“ — tłumaczy się nie tylko odrębnymi warunkami rozwoju na Zachodzie. Tłumaczy się przede wszystkim tym, że partie te nie wierzą w dyktaturę proletariatu, obawiają się rewolucji i nie mają zamiaru prowadzić proletariatu do władzy; a kto obawia się rewolucji, kto nie chce prowadzić proletariuszy do władzy, ten nie może się interesować sprawą sojuszników proletariatu w rewolucji — dla niego sprawa sojuszników jest kwestią obojętną, nieaktualną“. („Zagadnienia leninizmu“ str. 40).

Jaki jest wynik długoletniej opieki prawnej Volksparteï i socjalistów nad biedną wsią austriacką i robotnikami rolnymi?

Brak przepisów prawnych regulujących sprawy chłopów pracujących, przepisów urlopowych, odszkodowań za zwolnienie z pracy, przepisów mieszkaniowych (w Styrii „ustawa“ nakazuje pracodawcy wyznaczać robotnikowi mieszkanie w stajni „dla dozoru bydła“. I rzeczywiście robotnicy mieszkają po stajniach albo w komorach przystajennych, a właściciel ziemi korzysta w ten sposób podwójnie: nie daje robotnikowi należnego mieszkania i przedłuża dzień jego pracy do późna w nocy), brak jednolitego cennika za pracę, upośledzenie pod tym względem kobiet i młodocianych, sprzeciwy bogaczy wiejskich przeciwko projektom utworzenia jednolitych Izb Robotniczych regulujących interesy robotników rolnych i przemysłowych (tworzone są natomiast osobne Izby Robotników Rolnych, w których do dziś pokutują hitlerowskie przepisy prawne, ograniczające prawa robotników na rzecz pracodawcy). Od 1946 r. np. datuje się akcja pomocy tych Izb na odbudowę domów robotniczych. (W praktyce jednak z pomocy tej korzystają wyłącznie bogacze wiejscy) — oto zarys granic wolności, w jakich żyje i pracuje robotnik rolny i leśny w Austrii. Nawet nowa ustawa z 1948 r., jakkolwiek reguluje już ogólnie stosunek pracodowcy do robotnika, w niektórych punktach zawiera przepisy pogarszające dotychczasowe położenie robotników. Pogarszają sytuację przepisy o odszkodowaniu za zwolnienie, broniące wyraźnie pracodawcę, pogarsza sytuację robotnika przepis o opuszczeniu w przeciągu trzech miesięcy mieszkania służbowego w wypadku zwolnienia z pracy. Wniosek komunistycznych posłów w sprawie przedłużenia tego terminu aż do czasu znalezienia zastępczego mieszkania został odrzucony przez koalicję VP i SP.

Sejm tyrolski może tutaj świecić złym przykładem. Dotychczas w Tyrolu nie usunięto przepisu o „służbowych“ mieszkaniach dla robotników rolnych w stajniach. Nie wydano przepisów, określających przyczyny zwolnienia pracownika przez pracodawcę. Nie ma wyznaczonego dnia roboczego (godzin pracy), brak jakichkolwiek przepisów normujących opiekę prawną nad chorymi robotnikami i ofiarami faszystowskiego reżimu.

Stroną wyzyskiwaną na wsi austriackiej są więc chłopi mało- i średniorolni, są bezrolni robotnicy. Małorolni i robotnicy rolni stanowią proletariat wiejski. Ten proletariat wiejski jest naturalnym sprzymierzeńcem klasy robotniczej w walce o całkowite wyzwolenie człowieka pracy.

*) Laurenz Genner — Der Kampf der Landarbeiter, „Weg und Ziel“ Nr 3.

FAKTY i ZDANIA

Cud planu Marshalla

Dyrektor amerykańskiego Urzędu Pomocy dla zagranicy P. Hoffmann oświadczył niedawno, że osiągnięcia europejskie w wyniku pomocy marshallowskiej graniczą prawie z cudem.

Na czymże ten cud polega? Przyjrzyjmy się niektórym krajom dotkniętym pomocą amerykańską. Belgia: liczba bezrobotnych w styczniu 48 r. wynosiła — 59.000, w sierpniu tegoż roku—76.000, w styczniu 1949—269.000. A przed rozpoczęciem pomocy marshallowskiej — 26.000. Włochy: styczeń 1947 r. — 2.228.000 bezrobotnych, lipiec 1948 r. — 2.283.000, styczeń 1949 r. — 3.000.000 bezrobotnych i 5.000.000 robotników sezonowych. Niemcy zachodnie: luty 1949 r. — 1.019.000 bezrobotnych.

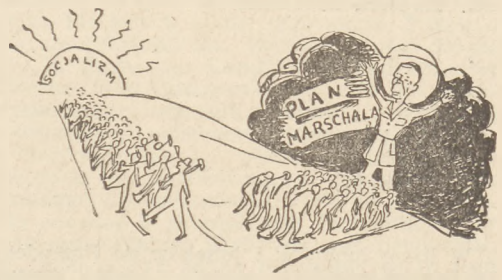

Rzeczywiście — cud. Tak bowiem wielkiego bezrobocia nie pamięta od dawna Europa. Oczywiście podobny cud wyrażający się rekordową liczbą bezrobotnych nastąpił i w kraju cudotwórców — w Stanach Zjednoczonych. Urząd statystyczny ogłosił, że w lutym br. w USA — 3.200.000 ludzi pozostawało bez pracy, to znaczy, że przez miesiąc przybyło 550.000 bezrobotnych. Tak wielkie cyfry wymieniano w czasie światowego wyzysku z lat międzywojennych.

Tymczasem w Związku Radzieckim i krajach demokracji ludowej sytuacja przedstawia się akurat przeciwnie. Państwo Radzieckie zwiększyło w pierwszym kwartale 1948 roku o milion ilość robotników pracujących w przemyśle, w ciągu całego ub. roku o 2.400.000 w stosunku do roku 1947. W Polsce liczba robotników wzrosła z 1.260.000 (1947) na 1.462.000, (1949), na Węgrzech z 781.000 (1946) na 931.000 (1947).

Dwa światy — dwie drogi. Jedna cudowna — wiedzie do wzrastającego bezrobocia, do nędzy, druga—pozwala na zatrudnienie coraz to większej liczby robotników. Jedna prowadzi do katastrofy, druga — do socjalizmu.

p. p.

Co kraj to obyczaj

W Stanach Zjednoczonych ukazała się ostatnio książka Wiliama Vogta „Droga do ratunku“. Wstęp do niej napisał rzecznik polityki atomowej — Baruch, polecając dzieło gorąco amerykańskiemu czytelnikowi oraz uwadze mężów stanu całego świata. Książka bardzo widać leży na sercu przemysłowcom i bankierom z Wall-Street, odpowiada doskonale ich „zamówieniu“. Jaką groźbę odsłania autor? Nawracając do przestarzałych poglądów Malthusa, obalonych już przez postępowych badaczy, Vogt w sposób rzekomo naukowy pokazuje, że ludzkości grozi klęska głodu z powodu zmniejszającej się wydajności ziemi, z powodu „ograniczonego potencjału biologicznego“ określonych terytoriów. Wyciąga stąd wnioski natury politycznej. „Ludzkość — mówi autor — znajduje się w ciężkiej sytuacji. Powinniśmy zrozumieć to i **przestać narzekać na systemy gospodarcze“.** A jakie autor widzi drogi wyjścia? Martwi go zwłaszcza to, że zwiększa się liczba ludności Europy, uważa więc, że tę liczbę należy koniecznie zmniejszyć przy pomocy wszelkich środków włącznie z oddziaływaniem ekonomicznym, uważa, że złą przysługę oddaje się ludzkości, gdy się walczy z chorobami, gdy stara jej się zapewnić jak najlepszy stan sanitarny. Z niedomówionych wniosków, które czytelnik winien odczytać między wierszami, to również ten, że wojna to też droga ratunku, jako czynnik regulujący nadwyżki ludnościowe. Taką tylko drogę ratunku widzi kapitalizm, podczas gdy w Związku Radzieckim pracują skutecznie dziesiątki instytutów badawczo-naukowych nad tym, by ziemia zwiększała swe plony, pracują setki uczonych nad tym, by obronić człowieka przed chorobą, głodem i przedwczesną śmiercią.

M. K.

Bibliotekarstwo w służbie społecznej

Do Redakcji „Wsi“

Uniwersytet Łódzki urządził w ramach „Tygodnia Oświaty, Książki i Prasy“ wystawę pn. „Bibliotekarstwo w służbie społecznej“. Nie daję recenzji z samej wystawy (chociaż jest pomyślana ciekawie i informuje widza dokładnie o naszym rynku książkowym, jak również o Bibliotece). Chcę natomiast przy tej okazji zwrócić uwagę na konieczność **rozszerzenia** akcji wystaw książkowych na najdalszą prowincję.

Wystawy książki i prasy powinny być urządzane często (niezależnie nawet od „Tygodnia Oświaty“ — który przecież jest tylko hasłem mobilizującym do planowego działania kulturalno - oświatowego). Mogłyby to być wystawy organizowane na miejscu (gmina, szkoła, spółdzielnia, ZMP, partie), ew. wystawy objazdowe poszczególnych firm wydawniczych („Czytelnik“, „Książka i wiedza“). W akcji organizacyjnej (zwłaszcza w czasie miesięcy letnich, feryjnych) można by wykorzystać młodzież ZAMP, ZMP i SP.

Wystawy książki i prasy nie powinny ominąć żadnej gminy wiejskiej, żadnego miasteczka. Akcja masowych wystaw przyczyniłaby się do spopularyzowania książki i prasy, zdobyłaby wielu nowych czytelników pism i prenumeratorów książek KUK, Klubu Dobrej Książki, Klubu „Odrodzenia“, Biblioteki w prenumeracie“.

Czy nie warto pomyśleć nad zorganizowaniem planowej akcji wystaw książki i prasy? Co na to nasze Spółdzielnie wydawniczo - oświatowe?

R. G.
Student U. Ł.

Znasz-li ten kraj?

Stany Zjednoczone to bardzo dziwny kraj. Kraj paradoksów kapitalistycznych. Amerykanie chwalą się chętnie przed całym światem, że co czwarty obywatel USA posiada własny samochód, a co drugi radioodbiornik. Ale niechętnie wspominają o tym, że co drugi mieszkaniec tego „szczęśliwego“ kraju jest pozbawiony opieki lekarskiej. Ściśle mówiąc, chodzi tu o 70.000.000 ludzi, którzy nie mogą sobie pozwolić na leczenie. Warto to przypomnieć, że przeciętna, nieskomplikowana operacja, kosztuje 200 dolarów u prywatnego lekarza. Innych w USA nie ma.

Ostatnio zwrócił na ten fakt uwagę Ewing w broszurze pt. „Stan zdrowia narodu“ (The Nations Health). Ewing proponuje uspołecznienie pracy lekarzy amerykańskich, co może uratować około 300.000 istnień ludzkich rocznie. W odpowiedzi na tę propozycję postanowił związek lekarzy USA opodatkować 180.000 swoich członków w wysokości 25 dolarów rocznie. Na akcję uruchomienia społecznej służby zdrowia? Nie — na... zwalczanie wszelkich projektów i prób uspołecznienia pracy lekarzy.

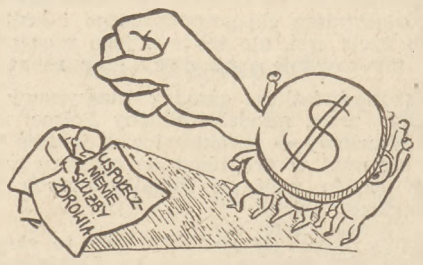

Wielu spośród 70 mln. Amerykan pozbawionych w dalszym ciągu społecznej opieki lekarskiej oddało swe głosy na Trumana, który w czasie kampanii wyborczej zapowiadał, iż dopilnuje sprawy organizacji służby zdrowia. Ale Truman ma krótką pamięć, podobnie jak jego rząd, który przecież zapowiedział demontaż niemieckiego przemysłu wojennego.

W. J.

Co się zmieniło w mojej wsi?

Ob. Redaktorze!

W odpowiedzi na Waszą propozycję napisaną do Faktów i Zdań o zmianach zachodzących w mojej wsi, chcę podkreślić jeden szczególnie ważny moment. Przeciętny turysta nie widzi na pierwszy rzut oka głębszych zmian na wsi. Po staremu — domy, po staremu — orka i siew, po staremu — gospodarka. W dalszym ciągu zależność biednego od bogatego — chociaż dzisiaj już inaczej te sprawy zaczyna się rozwiązywać.

Właściwe rozwiązanie stosunku biednych chłopów do bogatych, to postawienie walki klasowej na wsi. I to jest najważniejsza według mnie zmiana. U nas zaczęła się ta historia dopiero w ostatnich miesiącach 48 roku, od czasu wyborów do zarządów ZSCh. Jeszcze na wiosnę ub. roku zasiadali w zarządzie, według tradycji, „kułacy“, gospodarze powyżej 10 ha. Ostatnie wybory zmieniły skład społeczny zarządu gminnego. W wyborach zwyciężyła biedna i średnia wieś.

Owoce tego zwycięstwa nie każą długo na siebie czekać. W tych dniach została utworzona przy Zarządzie gminnym ZSCh Gminna Rada Kobieca. W skład weszły kobiety drobno- i średniorolne. W innym składzie Zarządu ZSCh nie byłoby możliwe zwycięstwo kobiet, które do niedawna były odsunięte od jakiejkolwiek działalności społecznej i politycznej na wsi. Rada Kobieca powzięła już uchwały dotyczące organizacji przedszkoli i żłobków podczas miesięcy żniwnych na wsi. Jeszcze w ubiegłym roku istniejące wtedy Koło Gospodyń Wiejskich przejęło przedszkole organizowane przez „Caritas“. Ale wtedy w kole zasiadały „gospodynie“ powyżej 10 i 15 ha. Obecnie Gminna Rada Kobieca — jakkolwiek nie potępiła działalności „Caritasu“, to jednak uznała formę „pomocy“ i „miłosierdzia“ udzielaną przez zamożniejszych biedniejszym za wsteczną i niezgodną z nowoczesną organizacją życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego w Polsce Ludowej. Nie przez dorywcze zastrzyki „miłosierdzia“, które w ustroju kapitalistycznym spełniały funkcję zasłon dymnych, przesłaniających konflikty klasowe, a przez planową organizację życia społecznego, kulturalnego i gospodarczego podniesie się polska wieś na wyższy poziom.

Czy nie byłoby wskazane, aby Redakcja „Wsi“ poświęciła w każdym numerze osobny kącik listom z terenu omawiającym zmiany zachodzące obecnie na wsi?

H. P.
nauczycielka z pow. stopnickiego

Amerykańskie metody przeciw wyzyskowi

W ostatnich dniach marca ukazały się w prasie amerykańskiej wiadomości o zmniejszeniu produkcji przemysłu stalowego. Liczne trusty stalowe zamknęły częściowo swe przedsiębiorstwa. Republic Steel zgasił dwa piece elektryczne w Canton i Ohio; Allegheny Ludlum trzy piece; Crucible Steel — trzy itd. itd. W konsekwencji obniżeń produkcji wzrasta bezrobocie. Już nawet ekonomiści amerykańscy, którzy twierdzili dotąd, że bezrobocie jest w dzisiejszej Ameryce niemożliwe — przyznają, że ich horoskopy spaliły na panewce. Nie pierwszy i nie ostatni raz przepowiednie polityków i działaczy amerykańskich stają w konflikcie z rzeczywistością.

Ale politycy i właściciele trustów, którzy tysiące robotników wyrzucają na bruk, nie chcą uznać żądań robotniczych. Ba, strajki robotnicze likwidują w sposób brutalny i bezlitosny.

Charakterystyczną wiadomość przynosi amerykańsko - polski „Głos Ludowy“ z 16 kwietnia br. „We wszystkich strajkach, w których brały udział kobiety, policjanci nie zwracali uwagi na płeć, lecz bili bez miłosierdzia każdego strajkującego, — mężczyznę lub kobietę... W Ameryce od lat istnieje prawo, że mężczyzna za uderzenie kobiety jest karany więzieniem... Ale policjantowi wolno bić kobiety znajdujące się na linii pikietowej...?“

W konsekwencji, — obniżenie produkcji, bezrobocie i bicie strajkujących kobiet. Rzeczywiście „przyjemny“ obraz demokracji amerykańskiej.

R. M.

Nie czyń drugiemu

Jestem byłym żołnierzem emigracyjnym. Przeszedłem wojnę we Francji w 1940 roku. Biłem się tam zawsze w ramach zwycięskiej ofensywy aliantów na Niemcy. Przywiozłem z zachodu kilka orderów i wiele goryczy dla wodzów politycznych emigracji. Wzamian za lata trudu i walki zaproponowano mi pracę przy hodowli owiec w Australii. Chciałem wrócić do kraju. Ale i to nie było łatwe. Emigracyjni przywódcy kłócą się o każdego człowieka, każda grupa, „stronnictwo“ chce mieć jak najwięcej członków, ale zgodnie szykanują tych wszystkich, którzy zgłosili chęć powrotu do Polski. Dziś członkowie „rządu“ londyńskiego, operetkowi wodzowie partii bez członków, są zwykłymi służącymi anglo - amerykańskiego kapitału, zdrajcami po prostu, prowadzącymi brudną robotę przeciw naszemu krajowi, który tak wspaniale odbudowuje się ze zniszczeń. Tych właśnie renegatów pobłogosławił ks. arcybiskup Wyszyński. W chwili kiedy rząd Rzeczypospolitej zaproponował godziwe porozumienie z Kościołem, jego wybitny przedstawiciel ogłosił list nie do naszego rządu, ale do zdrajców ojczyzny z nadzieją, że godnie spełnią swoje posłannictwo na emigracji“. To posłannictwo znaczy organizowanie sieci dywersyjnej w krajach demokracji ludowej, za amerykańskie pieniądze, oznacza mordy polityczne na naszych działaczach. Czy takie jest oficjalne stanowisko Kościoła wobec propozycji porozumienia, wysuniętych przez nasz rząd? Czy w ten sposób ma być zrealizowana chrześcijańska zasada miłości bliźniego?

Myślę, że trzeba przypomnieć ks. arcybiskupowi inną, nie mniej ważną zasadę chrześcijańską: nie czyń drugiemu, co tobie nie miło.

Jan Szymek

Łódź, 6.5. 1949.

Przyjaciele Ameryki

9 kwietnia otwarto w Nowym Jorku międzynarodową wystawę handlową. Biorą w niej udział liczne firmy różnych krajów. Między innymi... niemieckie. Bierze w niej udział Agfa Camerawerk Ultramarinfabriken należąca do słynnego koncernu I. G. Farbenindustrie, który stanowił podstawę przemysłu chemicznego Niemiec hitlerowskich. Bierze dalej udział niemieckie przedsiębiorstwo odzieżowe Lodenzfrey Co, które zaopatrywało armię hitlerowską w mundury. Bierze jeszcze udział Lanza Automobilewerke, której właściciel, Carl Lanz, finansował Hitlera, przed dojściem do władzy, Henkell Compagne, własność Ribentroppa, wielki kartel amunicyjny Lemen - Halske itd., itd.

Rząd i monopoliści amerykańscy lubią oddanych przyjaciół. Na wiele im pozwalają. Za wiele. Mówi jednak przysłowie „Poznaj człowieka po przyjaciołach jego“. Słuszne przysłowie.

M. S.

To będzie ich trzecie zwycięstwo

Szanowny Kolego Redaktorze!

Franciszek Semczuk jest pełnomocnikiem wsi samopomocowej i prezesem Gminnego Zarządu Zw. Sam. Chłopskiej w Krynicach. Wieś ta leży na trasie Zamość—Tomaszów. Jest ona stosunkowo duża, gęsto zabudowana. Ciągnie się na przestrzeni 2 km. Środkiem wsi biegnie gładka szosa wiodąca do Tomaszowa. Wzdłuż drogi ciągnie się nowowybudowana linia wysokiego napięcia. We wsi linia rozgałęzia się we wszystkie strony, zapalając w izbach złote żarówki.

— To nasze drugie zwycięstwo za demokracji ludowej — mówi Semczuk. — Pierwsze zwycięstwo — to reforma rolna w 1944 r.

Krynice mają swoją historię. Doniosłe wydarzenia ostatnich 5 lat nastąpiły we wsi szybko jedno po drugim: reforma rolna, elektryfikacja wsi, niedługo zaś zostanie ona również zradiofonizowana.

W ubiegłym, 1948 roku, Krynice zostały wytypowane przez Główny Zarząd Samopomocy Chłopskiej na wieś samopomocową. Na ten cel Wydział Wsi Samopomocowych przydzielił dla Krynic 6.605.000 zł. Wiadomość tę kryniczanie przyjęli z wielkim zadowoleniem. Semczuka wybrano na pełnomocnika wsi samopomocowej.

— Z sumy tej — mówi Semczuk — 2.605.000 zł zużyjemy na uzupełnienie maszyn w ośrodku maszynowym. Będziemy posiadać, proszę was, traktor. Traktor, wiecie, niezbędny jest dla wsi. Dokupimy jeszcze siewników i żniwiarek, jednym słowem podciągniemy ośrodek do pierwszej klasy. 1.500.000 zł — wyjaśnia dalej Semczuk — pójdzie na odbudowę cegielni i pustaczarki. A skoro będziemy posiadać cegielnię, wybudujemy piekarnię i łaźnię. Jeden milion na ten cel przeznaczamy. Jeszcze będziemy budować dom ludowy. Bo ten, który mieliśmy, oddaliśmy na szkołę.

Rozpoczęto już pracę w kierunku hodowli drobiu, bydła rasy czerwonej i trzody chlewnej. Urządziliśmy też wylęgarnię przy Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska“.

I oto kiedy wybudujemy wieś samopomocową, będzie to nasze trzecie zwycięstwo.

Jezierski Bogusław

Walka trwa

Szanowny Redaktorze!

Zbliża się, jak wiadomo, okres matur. W związku z tym codzienna prasa łódzka („Dziennik“ i „Ekspress Ilustrowany“) opublikowała szereg artykulików, w których niezmiennie powtarza się, że obecni abiturienci łódzkich szkół średnich „przystępują do egzaminu z uczuciem dumy i radości, iż będą mieli okazję do wykazania swej wiedzy i dojrzałości ideowo-politycznej“.

Przyznam się Redaktorowi, że niezmiernie mnie powyższe oświadczenie zbudowało.

Ale... gdy spytałem się przed tygodniem mojej siostrzenicy, abiturientki jednego z gimnazjów łódzkich, czy czytała numery „Odrodzenia“ i „Kuźnicy“, poświęcone Kongresowi Pokoju (chciałem z nią porozmawiać o wierszu Louis Aragona „...Słyszę was głosy zabitych“) dowiedziałem się, że „Pani nic nie mówiła, że trzeba czytać takie pisma i że nikt ich w klasie nie czytuje“ za wyjątkiem jednej „dziwnej“ koleżanki, która jest „poetką“. Nie mówi się też nic o takiej literaturze, brały jedynie „Popiół i diament“ Andrzejewskiego i Tetmajera.

Druga zaś „pani“ z tej szkoły (też polonistka, tylko z młodszych klas) miała odpowiedzieć na pytanie jednej z uczennic co znaczy wyraz Viet-Nam, że nie zna niemieckiego. Ponieważ — tak się już jakoś składa — że stan „wiedzy i dojrzałości politycznej uczniów“ zależy w bardzo dużej mierze od... nauczyciela, mam mocne wątpliwości, czy wszyscy abiturienci i ze wszystkich szkół naszego miasta mają powód do zasłużonej „dumy i radości“, a autorzy nieodpowiedzialnych artykułów do przesadnego i wysoce szkodliwego społecznie optymizmu. Nie można bowiem pisać, że walka o naszą młodzież jest już wygrana, kiedy walka ta trwa. Ogłaszanie zwycięstw mogłoby spowodować demobilizację naszych postępowych kadr nauczycielskich właśnie wtedy, kiedy je mobilizujemy.

Czytelnik z Julianowa

Redaktor naczelny - JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240 — zł; półrocznie 480 — zł; rocznie 960,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“ — Łódź, ul. Zwirki 2.
D—02210